A. WIENIARSKI

WARSZAWA
WARSZAWIANIE

WARSZAWA
I
WARSZAWIANIE

SZKICE TOWARZYSKIE I OBYCZAJOWE.

PRZEZ

Antoniego Wieniarskiego.

Serya pierwsza.

TOM I.

WARSZAWA.

Nakładem KAROLA BERNSTEJNA, Księgarza.
przy ulicy Miodowéj pod Nr. 483.

1857.

Wolno drukować, pod warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu prawem przepisanéj liczby egzemplarzy.

Warszawa, dnia 3 (15) Listopada 1856 r.

Starszy Cenzor, *F. Sobieszczański.*

w Drukarni J. Jaworskiego.

Tylko jeśli wywołać taki uścisk chcesz,
To w szpalery wzorzyste słów twoich nie krzesz.
Ale krzesz sercem w serce, jak krzemieniem w stal
A jak iskrami pruchno—tak słowami pal.
A prawdy nie obwijaj pochlebstwa bawełną,
Ale w wieczny z nią związek poślubuj twój głos.
A głos twój niechaj będzie jak siermięga prosty,
A tak twardy i ostry, jak ostrza tych kos
Co z równin naszych tępią wybujałe osty.

Roman Zmorski.

PRZEMÓWKA.

Warszawo! ty podeszła kokietko, co już przeszło przez trzy wieki rozszerzasz fałdy swoich robronów, upinasz koki, fryzury loczki i stroiki, co skromne warkocze lub wywinięte śmiało pukle przystrajasz koleją, to w kulisy osłaniające połowę twych lic, to w liście figowe nieosłaniające nic wcale, co odkryte łono zdobisz i w dyamenty najczystszej wody i w podejrzanej wartości kamienie—wzywam cię przed moje kratki, jak sędzia sądu poprawczego aby spisać protokół z twoich sprawek — przywołuję cię jak fotograf przed swoją szafkę aby uchwycić twe dzisiejsze rysy wiernie a żywo i przekazać je przyszłości. Warszawo! przygotuj się dobrze, bo znajdziesz

mnie nie ubłaganym, bo zimny mój wzrok nie zachwieje się patrząc na twe powaby, bo go nie oszukasz cnotliwą minką i rączkami na krzyż złożonemi, bo pozorów nieweźmie za rzeczywistość! A Warszawo! ja chciałbym widzieć cię piękną, szlachetną—chciałbym wyczytać z twoich rysów, że umiesz być cnotliwą, nie z pozoru dobroczynną nie dla chluby, świetną nie z próżności, dumną nie z herbów i złota — pokorną nie z podłości, wstrzemieźliwą nie zmusu, oszczędną nie z potrzeby, — chciałbym dojrzeć, że umiesz wynagradzać zasługę, prawość, cnotę, a brzydzisz się podłością, fałszem, intrygą, chociażby one gnieździły się w pałacach, zajmowały świetne apartamenta i rozpierały się w karetach. Warszawo! ja pragnąłbym widzieć cię matką ubogich, opiekunką skromnych, pocieszycielką nieszczęśliwych,—a macochą dumnych, karcicielką próżnych i głupich. Warszawo! ziść moje życzenia a będziemy w zgodzie jak syn z matką, będę opiewał twoje przymioty jak Trembecki pochwały uwiecznionej przez siebie Zofijówki! Ale nie— to są próżne marzenia, ja czuję, że będę mu-

siał być wprzód dla ciebie pasierbem, że ręka moja zakrwawi twoje serce — ale Warszawo daruj! ja pragnę twojego dobra a nie twojej rozrywki.

Za każdém słowem serca pytałem,
Czy nie dość moralnéj chłosty,
Serce milczało—więc skutek prosty,
Że i ja pisać musiałem.
Nie raz mi przecież ręka zadrzała,
Nie raz z uśmiechem łza się zmieszała.

RYSOPIS WARSZAWY.

WARSZAWA W KARNAWALE.

Rok stary dogorywający do dna, skonał na ręku Sylwestra—pożegnano go w Resursie walcem i szampanem, a przywitano przybysza który zajrzał ciekawie i zastawszy Warszawianki pląsające, a Warszawian z kielichami w rękach, pogroził im na drobnym nosku i pobiegł dalej powitać oczekujących na niego niecierpliwie woźnych wszelkich biur, afiszerów, bryftregerów, cyrulików, kominiarzy, parobków piwowarskich i t. d. i t. d. i przejrzeć drukowane i litografowane ich życzenia, które nazajutrz jak szarańcza spaść miały na spokojnych i niespokojnych mieszkańców starego grodu. Z dziecinną wesołością uśmiechnął się z tych wszystkich rymowanych

szczęśliwości i *pomyślności. Zdrowia dobrego* i *fortuny do tego*, ruszył ramionami na niektóre jak np.

Ile bród przez rok ogolę,
Ile jest żydów na Franciszkanach
Ile wróbli bywa w stodole,
A dziur w starych łachmanach,
Ile żon mężów zwodzi
Ilu fircyków za pannami chodzi,
Ile panien wzdycha za chłopcami,
Ilu lichwiarze zedrą procentami,
Tyle panowie panienki i panie
Niech wam się szczęścia w tym roku dostanie.

i pobiegł do redakcyi Kuryera warszawskiego przejrzeć listę osób składających ofiary dobroczynne, w miejsce rozsełania biletów z powinszowaniami nowego roku. Uważaliśmy, że wszystkie znaczniejsze cyfry podkreślał, a kiedy go ktoś zagadnął dlaczego zadaje sobie tyle pracy, odrzekł że musi rachować się potém z temi panami i paniami czy zawsze będą tacy hojni, — czy kiedy w cztery oczy spotkają się z biednym, nieominą go i niezfukają, myśląc sobie tego nikt nie usłyszy, a choćby co i dać to nikt nie wydrukuje.

Dalej ten nowy przybysz przebiegł nad śnieżnemi łóżeczkami panienek i rzucił w ich sny, tej bruneta, owej blondyna z brylantowemi pierścieniami na rękach i z karetą w wozowni; — innej bengalową suknią z wolantami i guipiurami, potem zaczepił o trzecio i czwarto piętrowe kawalerskie izdebki i pełną ręką posypał posagi, awanse, sztosy, wolty, i totusy, dalej przesunął się przez gabinety panów radców, referendarzy, sędziów i zostawił im szczodre upominki od klientów: zatrzymał się nad matką kołyszącą dziecię i obrzucił go kwiatami nadziei, zabiegł do biednych z obietnicą lepszej doli, aż wreszcie popłynął na promieniach jutrzenki i zajaśniał nad Warszawą kręgiem wschodzącego słońca.

Na to hasło wysypały się roje winszujących z życzeniami pod pachą a próżnemi workami w kieszeniach i nuż dalej dobijać się do mieszkań wielmożnych i nie wielmożnych panów, aby ich gwałtem uszczęśliwić. Żebyś zamknął się na wszystkie rygle przed tą życzliwością, to nie zdołasz odegnać jej od siebie; — odpędzisz ją ode drzwi to wlezie oknem, zamkniesz okno, to komi-

nem się dostanie. Rad nie rad musisz obłożyć się stosami różnych, zielonych, żółtych i białych świstków, zadrukowanych od góry do dołu, opłaciwszy hojnie zbyt łaskawą pamięć winszujących.

Na dowód jak wiele jest życzliwości w podobnych pieniężno-czułych afektach, przytaczam tu następujące zdarzenie.

W nowy rok, nie pamiętam już który, szedłem odwiedzić jednego z dobrych znajomych mieszkającego na drugim piętrze na Podwalu. Stojąc na schodach pierwszego piętra, usłyszałem następującą gawędkę toczącą się na schodach drugiego piętra.

— I wieleż ci dał?

— Złotówkę.

— A tobie?

— Djabeł wie—ha, musi to być czterdziestówka—ale strasznie wytarta.

— A to bestya skąpa.

— A to psi odrywek—na pieniądzach siedzi a czterdziestówki daje.

— A bodaj kark skręcił na równej drodze.

— A bodaj tak jemu czterdziestówki dawali.

— A jakie to harde -- na *winszowanie* ani spojrzał—ani przeczytał.

— Ot zwyczajnie pyszałek — w łapciach chodził, a teraz grosza nadrapał i dmie.

— A niech tu się pod nim święta ziemia zapadnie.

— A niech go tu jasny piorun trzaśnie.

Chcąc przerwać dalszy szereg podobnych obligacyi, chrząknąłem i wszedłszy na drugie piętro ujrzałem stojących dwóch kominiarzy, dwóch woźnych i jednego cyrulika, porządkujących obrachunki.

Oto błogie nadzieje może mieć mój koleżka z tych powinszowań, pomyślałem sobie, biorąc za klamkę jego mieszkania.

Gdym mu opowiedział podsłuchanie na schodach dodatkowe życzenia, on podniósł z ziemi dwa zielone, i dwa różowe świstki i oddając mi je, rzekł:

— Przeczytaj i porównaj.

Na każdym było tyle życzeń szczęścia, wesela, zdrowia, pomyślności i fortuny, ile ich w najpełniej-

széj piersi znaleźć się może, a jeden kończył się takim epilogiem.

Jak błyszcząca słońca łuna,
Złotem świat cały obdarza,
Tak niech ci hojna fortuna,
Złoto stwarza
Szczęścić zdarza,
I z najpiękniejszą damą
Zawiedzie do ołtarza!

Otóż to *życzliwość za pieniądze.*

Około godziny dziesiątéj z rana zaczynają się znów powinszowania innego rodzaju. Na chodnikach rozminąć się nie można, ze spieszącymi w różne strony urzędnikami w paradnych mundurach.

Każdy dąży do swojego zwierzchnika złożyć mu dowód swego uszanowania, choćby zapisaniem się na listę zostawioną u szwajcara albo u lokaja w przedpokoju, choćby zostawieniem biletu wizytowego z takiemi np. hieroglifami p. f. u 185*

Etykietalne wizyty młodzieży zaczynają się dopiero około godziny pierwszéj i wtedy możesz ogłuchnąć od brzęków dzwonków u sanek krzy-

żujących się po ulicach. W każdych siedzi obrócony tyłem do wiatru ufryzowany, wybielony, pachnący paniczyk, w glansowanych rękawiczkach, w świecącym kapeluszu, w lekkiej futrzanéj algierce, a czasem w lekszym jeszcze paltociku, w lakierowanych bucikach, dzwoniący zębami od czasu do czasu, to jest od jednéj wizyty do drugiéj. Przed domami w których zbierają się liczniejsze towarzystwa, spostrzedz można na raz kilku sankarzy, którzy wyładowali swój winszujący towar do salonu. W salonie gospodyni domu siedzi blisko drzwi i przyjmuje życzenia. W biegu wyfraczkowany, wyprasowany, z ziębnięty jegomość, szura mocno nogami, kłania się jeszcze mocniéj i mruczy.

— Bardzo mi przyjemnie — prawdziwie — moje życzenia bez granic — jakżem szczęśliwy....

Gospodyni domu dyga uprzejmie i mówi.

— Miło mi nadzwyczaj — ten dowód życzliwości — prawdziwie nie znajduję słów.

Te serdeczne czułości przerywa znów nowe szuranie nogami i nowe de capo al fine *bardzo mi przyjemnie* i *miło mi nadzwyczaj*. Jeden z win-

szujących przysięgał się nam na zdrowie swojéj ciotki po któréj odziedziczyć miał znaczny majątek,—że był z powinszowaniem w 45 domach i ani jednego wyrazu więcéj niepowiedział i ani jednego więcéj nieusłyszał, nad formułkę którą wyżéj przytoczyliśmy.

Podczas kiedy młodzież zajeżdza, konie obwożąc po Warszawie owe *bardzo mi przyjemnie* panie i panny elegantki obsełają się bilecikami ale nie takiemi na których, trzy lub cztery litery oznaczać mają życzenia, bo takie obiegały miasto w przed dzień nowego roku, ale bilecikami na kolorowych papierach, w prześlicznych najmodniejszych kopertach, zapieczętowanemi sercem lub kotwicą, bilecikami słodkiemi jak cukierki Lursowskie —dowcipnemi jak romans francuzki, a fałszywemi jak pańskie obietnice.

Pochwyciliśmy jeden taki bilecik, a chociaż pisany był w języku francuzkim, przełeliśmy go na mowę ojczystą, aby przystępniejszy był większéj liczbie naszych czytelników.

„Moja duszko! Jesteś piękna jak róża świeżo rozwita—jesteś powabna jak hortensya królowa

kwiatów—wszyscy cię wielbią—wszyscy się nad tobą unoszą, kiedy wchodzisz w progi jakiego domu to wszystkie oczy zwracają się ku tobie, jak ku pani swoich myśli. Ach duszko!—to nowy rok, trzeba ci coś życzyć, a co życzyć kiedy wszystko posiadasz, kiedy przed tobą jak przed księżniczką zaklętych gmachów, wszystko pada na kolana. Kornelciu! ty rozsełaj życzenia całemu światu, bo każdego możesz cząstką swego szczęścia, obdzielić. Twój każdy wyraz, twój każdy uśmiech, to klejnoty które ludzie z rąk sobie wydzierają, a ja—polna makówka—co mogę dodać do blasku który cię otacza? Serce—serce! z niem spieszę w twoje objęcia—przyjmij ten noworoczny a jedyny który ci dać mogę prezencik i kochaj mnie całem twojem serduszkiem o które się świat cały dobija".

Twoja na zawsze—Eufrozyna.

Tego samego dnia w którym ów podniesiony do najwyższej pochlebstw potęgi bilecik, wpadł w moje ręce, byłem na jednym z familijnych wieczorków gdzie znajdowała się i jego autorka. Niepowiem czy to była mężatka, wdowa, lub pan-

na, bo niechcę ściągnąć szczególniej uwagi na ten lub ów stopień zgromadzenia niewieściego. Autorka tego listu nie znała mnie zupełnie, nie mogła się więc domyślać że list do Kornelki był w mojém ręku. Kiedy rozdawszy karty w preferansa, siedziałem bezczynnie, usłyszałem następującą tuż obok prowadzoną rozmowę.

— Była i Kornelka – ale nie wyobrazi sobie pani co się z niéj zrobiło — ona się różuje a na brwi ma jakiś sposób żeby były wąziutkie. A trzepocze się jak siedmnastoletnia panienka, susząc sztukowane ząbki do wszystkich mężczyzn.

Nie mogłem wytrzymać — obróciłem się do damy najbliżej mnie siedzącéj, a dobrze mi znanéj i rzekłem.

— Czy Panie mówią o Pannie Korneli X. *pięknéj jak róża świeżo rozwita*, *powabnéj jak hortensya*, — *któréj każdy wyraz*, *każdy uśmiech*, *to klejnoty które ludzie z rąk sobie wydzierają*. Zapytana spojrzała na mnie wielkiemi oczyma—a autorka znanego listu z bladej zrobiła się nagle pąsowa. Co się daléj stało nie wiem, bo któryś z moich współzawodników wpadł bez

dwóch i wypadek ten taką ogólną radością napełnił całe zgromadzenie, że przy objawach téj radości niedosłyszałem odpowiedzi znanej mi damy. Uważałem tylko że autorka listu w krótce znikła z salonu:

Gdy wyższy świat objawia w taki sposób swoje uczucia, — panowie stolarze, rymarze, szewcy, krawcy, blacharze, kowale, itd. itd. w świątecznych szatach ciągną *pod lipkę* ku *gdańskiéj piwnicy* albo ku *prababce warszawskich bawarii do domu Roezlera na Senatorskiéj ulicy*, oblać wzajemne życzenia pienistym z zapasowéj piwnicy Haberbuszem, Szeferem albo Naimskim: — przepraszam za użycie tych przydomków dawanych piwom z fabryk wymienionych wyżej pp. piwowarów pochodzącym, ale chcę być wiernym najdrobniéjszym odcieniom warszawskich przywyknień.

Tam dopiero topią się wszystkie zeszłoroczne troski, uchybienia czeladzi, nygusostwo chłopców, niewypłatność dłużników — tam na rozpromienionych licach, wchodzi nowy rok pływający w sosie z pomyślności, a nadziany siekaniną z zysków

i powodzenia, tam ubijają się wzajemne zawiści, szewc całuje szewca, krawiec podaje rękę krawcowi, kowal ściska się z kowalem, a bawar płacze strumieniami radości nad tą powszechną zgodą.

W nowy rok już można tańczyć—w nowy rok pierwsza maskarada; nieśmiało jednakże młodziutki karnawał stawia pierwsze kroki i rzadko posłyszeć można o jakim większych rozmiarów nowo-rocznym wieczorze. Byłoby to wyraźném objawem szczeréj sympatyi dla karnawału, a warszawianie chcą dać poznać że *z musu się bawią*. Broń Boże zacząć ochoczo a skończyć spokojnie—potrzeba posuwać się powoli, niby od niechcenia z biegiem prądów karnawałowych, wirując dopiero przy końcu. Z tego samego powodu i pierwsze dwie maskarady wyglądają jak plac za Żelazną Bramą w sobotę, zaledwie najgorliwsi zwolennicy tułają się po pustych salach szukając oczyma towarzyszy ziewającéj zabawy. Nie raz nie mogłem wytłomaczyć sobie poświęcenia tych ludzi, narażających się na zaziębienie w obszernych salach, i uważałem ich za bohaterów, nara-

rażających życie dla ośmielenia współbraci, udeptujących drogę, po której trochę później kilka tysięcy nóg przebiegnie.

Nieraz w tym pierwszym tygodniu mniej ochoty do zabaw aniżeli w adwencie. Przyjęcia tygodniowe zaczynają się od bakalii, pierniczków, jabłek, które tradycyjną swą rolę odegrać muszą w pierwszych dwóch tygodniach, licząc od Bożego-narodzenia aż do trzech króli. Jak pączki w tłusty czwartek, baby na wielkanoc, obwarzanki piwne w adwencie, ex oficio znajdować się muszą na stołach rączkami warszawianek zastawionych, tak bakalje stanowią zwykle pierwsze danie na tych obrzędowych przyjęciach, trwających od wigilii aż do trzech króli i są niejako symbolem karnawałowych słodyczy.

Dopiero *placek migdałowy*, który ma ważne powołanie w historyi towarzystw warszawskich, ośmiela wahających się z chęciami do postawienia nogi na ślniącej posadzce salonów. Pod pozorem poszukiwania *migdała* i okrzyknienia *króla migdałowego*, zgromadzają się tu i owdzie panie w lekkich sukniach, panowie we frakach

i białych rękawiczkach, bo warszawianom koniecznie potrzeba *pozoru*. Rzadko uda się jakiś obstalunek na urząd, zapowiedziany z góry, przewidziany od dawna, — wtenczas najśmielej rzeczy idą, gdy inny jest *pozór*, a inny *skutek*. Otóż szukają wszyscy *migdała* — ci co go znajdą tryumfują, reszta krzyczy *vivat rex!* Ale tryumf niebyłby zupełny gdyby nie było wina i muzyki. Znajduje się więc od niechcenia i jedno i drugie. Muzyka gra skoczne polki i mazury, jakże niesprobować nóg czy *nie zastały się* w adwencie— sprobowawszy jakże tu przestać — i tak jakoś mimo chęci przetańczy się noc całą, a król migdałowy odbiera hołdy całego zgromadzenia, że tak wybornie poprowadził zabawę.

Muszę tu jeszcze nadmienić nawiasem, że ślepy traf zupełnie podrzędną gra rolę w wyborze króla migdałowego. Jak powiadają, że król Michał nie byłby królem gdyby nie umiano przywabić pszczół nad jego głowę, tak nie jeden król migdałowy nie byłby królem, gdyby zręczne w takich razach gosposie, nie kierowały ku niemu owym tajemniczo w placku uwięzionym migdałem.

Fama głosi że na początku każdego wieczoru, w kółku rodzinnem wybiera się zwykle owego szczęśliwego który migdał znajduje, a wybór pada zazwyczaj na człowieka, który godność tę piastować potrafi, co się tłomaczy że da choć jeden wspaniały wieczór, na podziękowanie za zaszczyt jakim go obdarzono. Sam widziałem jak raz póty obracano plackiem na wszystkie strony, dopóki migdał nie dostał się pewnemu jegomości, który ma passyą być hojnym w takich razach. Okrzyknięto go *królem Łokietkiem* (podobno dla podobieństwa wzrostu) a on chcąc z góry dać poznać, że będzie umiał ten honor odpłacić zaimprowizował:

Król Łokietek był mały, ale wiele znaczył,
I ja zostałem królem bym państwa *uraczył*.

Rozumie się że po takiem zapowiedzeniu fest był wielki w jednym z domów trzema liczbami oznaczonych, jest bowiem w Warszawie pewna klasa ludzi, która *strasznie* lubi być hojną i przyjmować u siebie arystokracyę rodów, aby się przed nią arystokracyą pieniędzy popisać mogła.

Wzajemne afekta tych dwóch różnych od siebie jak gotycka świątynia i nowożytny pałacyk

partyi, są tematem różnych śmieszności. Arystokraci rodu, ujmują za pozłacane klamki mieszkań naszych Rotschildów, aby się jak mówią *popularyzować*, aby zacierały uprzedzenia rozdzielające towarzystwa, podczas gdy zamykają szczelnie podwoje swoich salonów, przed poczciwym urzędnikiem, szlachcicem w wytartej kapocie, albo kupcem, którzy pracą i oględnością, wyrobili sobie nie zależne stanowisko. Arystokracya pieniędzy przyjmuje z otwartemi rękami herbowych gości i rozkłada przed niemi cały przepych bogactw, przyjmuje ich *strusiemi językami*, mówiąc do siebie w duchu — patrzcie u nas tak— bo my *bogaci!*

Taka komedya odgrywa się w salonach—zajrzyjmy za kulisy: — pani hrabina siedzi w swoim gabinecie, nogi wyciągnęła na szeslągu, głowę oparła na ręku, i jakby liczyła kwiaty na adamaszkowem obiciu, tak ciągle patrzy w jedno miejsce, aby nie ruszyć oczyma w których pełno łez. Na czole białem zwykle jasnem pełno chmur; a usta drżą jeszcze od jakiegoś nerwowego wzruszenia.

Pan hrabia chodzi po pokoju szerokiemi krokami i szczęściem że stąpania jego giną w miękkim kobiercu zaściełającym posadzkę, bo pani hrabina mogłaby się na serjo od grzmotu silnych kroków rozchorować.

Na czole pełno fałdów, a z ust buchają kłęby dymu prawdziwego hamburskiego cygara.

Jakieś małżeńskie nieporozumienia, powiedzą czytelnicy. Otóż przepraszam, najlepsza zgoda panuje w tem stadle będącem wzorem dla innych, bo mąż zwykle przez lokaja anonsuje wizyty żonie, — a żona najczęściej odpowiada że *nie jest przygotowana* do przyjęcia wizyty męża. Jest to tylko mała narada nad projektem wysunięcia się na karnawał do Paryża.

— Niemożemy—niemożemy jechać; mówił pan hrabia krztusząc się dymem; ten osioł Owsikiewicz przysłał mi długi rapport zabazgrany od góry do dołu, że się nie urodziło, że bydło wyzdychało, że owce chorują na *motyle*. Dziwna zaiste choroba, muszę się zapytać pana Wagi, czy po téj chorobie owcom czasem skrzydła nie wyrosną? Że ofiara niezapłacona. Koniec końcem nie

wiem na co to teraz mieć dobra, chyba na to aby panoszyli się tacy Owsikiewicze, — ja mam miljonowe włości—a co z nich biorę—hę? przysłał mi po Św Janie raz 3000 rsr. — co to znaczy—pojechaliśmy do Baden i już niema. Potem sprzedał tu pszenicę i dał 2000 rsr. hę — głupstwo przegrałem je od razu do księcia Karola. Potem przypominam sobie że 1000 rsr. wziąłem na okowitę—no daliśmy wieczorek i poszło. Ale ale przysłał mi jeszcze 2000 rsr. za jakieś tam sągi—ale co ja z niemi zrobiłem?—dalibóg niepamiętam! Ha! ha! pani zażądałaś na drobne wydatki i dałem ci 1000 rsr. reszta się rozeszła. No koniec końcem, niema oczem jechać do Paryża.

— A niema tam lasu do sprzedania?

— Ba! ba! gdyby był. Albo ten łotr Owsikiewicz umie się rządzić—wyprzedał las co do pnia — resztę wyrąbał na jakieś sążnie i pisze teraz że już niema nic.

— A na hypotekę.

— No—jużciż w ostatnim razie, ale tam ciotka pani weszła z ogromnym kapitałem — każdego to zraża, a to tylko forma.

— A gdyby pan Geldhab?

— Ha! ha! wyborna myśl?! on dziś daje bal — przysłał nam zaproszenie, ale rzuciłem je w kąt, bo mam śmiertelną odrazę do tych palestyńskich magnatów. Teraz postać rzeczy się zmienia—jedźmy pani —zróbmy im ten honor, a jutro zaproponujemu malutki interesik—i będziemy w Paryżu.

— Jedźmy! zawołała pani hrabina i zerwała się na równe nogi z szesląga.

— Jedźmy! powtórzył pan hrabia i odetchnął swobodnie, jakby kilka cetnarów ołowiu zrzucił z siebie.

Widząc takie zadowolenie państwa hrabstwa, opuśćmy ich i przenieśmy się do gabinetu zapchanego palisandrami, marmurami, świecidłami, na jakie tylko przepych zdobyć się może.

Pan Geldhab w tureckim szlafroku, w tureckich pantoflach, —tureckiéj czapeczce i z tureckim cygarem w ustach, siedzi w fotelu na biegunach i sprężynach, całkiem od góry do dołu wyaksamitowanym i wybronzowanym, przed biórkiem arcydziełem Simlera, założonem ślicznie oprawnemi księgami, złoconemi przyborami do

pisma, jedwabiem owiniętemi piórami, wyglansowanemi różnych kolorów papierami i t d. i t d. Głowę obciążoną *wielkiemi interesami* oparł na rączce białéj, pulchnéj, jakby przez Friboesa utoczonéj, opierścieniowanéj i operfumowanéj, a drugą uzbrojoną ołówkiem w złotéj obsadce, kreśli jakieś cyfry na leżącym przed nim rachunku.

— Hrabia Marek—5000+2000+6000 summa 13,000 rsr. Uu — ten hrabia Marek strasznie mnie kosztuje; mówił do siebie pan Geldhab kręcąc głową.

W trakcie tych rozmyślań, wszedł kolega pana Geldhaba — równie jak on ubrylantowany, pulchny i wiecznie zacierający delikatne ręce, dla sprezentowania ich białości i drogocennych pierścieni.

— Co pan Geldhab tak pracuje? — zapytał wchodzący.

— Jak niepracować — kiedy tu głowa pęka. Każdy do pana Geldhaba, jakby pan Geldhab złoto kopał za piecem.

— Pewnie jakich pańskich interesów.

— Eh mnie już tu stoją ci panowie — i poka-

zał na gardło. Każdy prawda ściska, całuje, kłania się nisko, niziuteńko,—ale potem panie Geldhab mój przyjacielu daj! *Aj te pańskie przjaźnie co to za wielki ciężar—uch*!

Ale zostawmy i pana Geldhaba narzekającego *na pańskie przyjaźnie*, a spieszmy za karnawałem, który począwszy od Trzech Króli, zaczyna się, jakoś ruszać.

Ruch ten spotrzedz się najprzód daje na trzeciéj i czwartej maskaradzie, które liczą czasem po parę tysięcy zwolenników. Mówię zwolenników, bo maskarady teraźniéjsze zmieniły zupełnie swój harakter. Dawniej ten się dobrze bawił na maskaradzie kto umiał użyć wrodzonego dowcipu, bądź to w prowadzeniu zręcznej intrygi, bądź też w harakterystycznem ukostiumowaniu się. W pierwszym razie wprowadzał w dobry humor kilkadziesiąt osób, w drugim zajmował kilkaset.

Dziś harakterystyka ogranicza się na pajacowskim kołpaku, żydowskim chałacie, hiszpańskim płaszczu, tureckim zawoju, albo krakowskiej i to jeszcze podejrzanej swieżości sukmance. Dowcipu próżnobyś szukał—chyba trywialne *znam cię*

maseczko zechcesz wziąć za dowcip albo intrygę. Dziś idzie się na maskaradę, aby wyszukać w tłumie jakieś domino z telegrafem na głowie albo u gorsu, i ująwszy się z nim pod ręce, spacerować po sali, prawiąc mu do ucha zakazane w porządnych towarzystwach grzeczności, aby w tak dobranem towarzystwie zjeść kilka porcyi kotletów i wypić kilka butelek szampana i dalej....już nie wiem co, bo nigdy nie miałem honoru probować tych maskaradowych przyjemności. Połowa mężczyzn idących na maskarady, nawet takich którzy już mają żony i dzieci, idzie w tym jedynie celu i to nazywa doskonałą intrygą—a kobiety porządne, prawie zupełnie przestają już kostiumować się, niechcąc ściągnąć na siebie podejrzeń o popularne wykładanie telegraficznych znaków. — Można więc sobie z łatwością wystawić jakie jest główne tło teraźniejszych maskarad, — muszą się one przekształcić albo nachylić do upadku.

Przytaczam tu jedną z najświeższych intryg maskaradowych, która da wyobrażenie o innych.

Przy ulicy Przepiórczej w jednym z domów, którego numeru wymienić nie mogę, mieszkała pani

wdówka czterdziestoletnia z córką dwudziestoletnią panną Euzebiją. Wdówka nie wyrzekła się jeszcze pretensyi pójścia za mąż, a córeczka miała niezmienne postanowienie wydać się jak najprędzéj. Bywał w ich domu pan Gorgoniusz kawaler czterdziestopięcio-letni i podług wszelkiego prawdopodobieństwa konkurował o matkę, jednakowoż gdy matka nalewała herbatę, albo wyszła z pokoju, to on tak czule ściskał rączkę córeczki i tak słodko patrzyli oboje na siebie, że znawca serc ludzkich nie potrzebował słów, aby dowiedzieć się przeszłych historyi i dalszych konsekwencyi. Wdówka podejrzywała pana Gorgoniusza o przeniewierzanie się jej miłości, ale nie domyślała się nigdy, aby sprawczynią tego była jej własna córka. Wzrok matek zwykle w takich razach jest bardzo krótki. Nadszedł karnawał — a z nim maskarady. Pani Q. pomyślała sobie poczekaj ptaszku, złapię cię teraz przy szkodzie, i kiedy pan Gorgoniusz zapytał czy będzie na trzeciej maskaradzie, pokazała mu receptę doktora na dowód, że więcej myśli o Powązkach aniżeli o maskaradzie. Ale nie dość na tem—potrzeba by-

ło jeszcze wyprawić gdzie z domu córkę, bo jakże iść na maskaradę, a jej nie wziąść z sobą, —jakże wziąść a śledzić i intrygować pana Gorgoniusza. Los uprzedził jej chęci—panna Euzebija sama zaprojektowała matce, czyby nie mogła pójść do koleżanki z pensyi, która zachorowała w przed dzień maskarady i nudzić się będzie śmiertelnie, bo ciotka i resztę domowników proszeni są na wieczór tańcujący.

— Nie uwierzy mama jak ta biedaczka wygląda mego przybycia,—o patrz mama, jeszcze na liście znać ślady świeżych łez—jakże jej odmówić?

— O zapewne—idź moja duszko,—kobieta przedewszystkiem dobrem sercem odznaczać się powinna.

— Panna Euzebija ucałowawszy rączki mamy dobrodzijki zapewniła ją najsolenniej, że będzie się nudziła cały wieczór, a mama aż w ręce klasnęła widząc jak za córeczką zamykały się drzwi ich mieszkania.

O godzinie w pół do dwunastej pan Gorgoniusz prowadząc pod rękę czarne domino z ponsową kokardą na kapturze i z takąż kokardą przy spię-

ciu u gorsu, przeciskał się przez środkową salę do teatru, gdy posłyszał że ktoś go łapie za rękę.

— A tuś mi stary grzesznikn—złapałam cię przecie.

Obejrzał się—jakieś żółte domino trzymało go tak silnie za rękę, że zaledwie mógł się obrócić.

— Nie znam cię maseczko rzekł oburkliwie,— puść, nie zastępuj mi drogi, spóźnię się do teatru.

— Nie znasz mnie! pisnęło domimo—ale ja cię znam—znam jak zły szeląg i mogę ci wyrecytować całą twoją historję od A—aż do Z.

— Nie ciekawym tej historyi,—puść mnie maseczko—spóźnimy się do teatru.

— Puścić cię nie puszczę,—bo ja cię tu szukałam, do teatru możemy pójść razem, twoja Doryda nie obrazi się o to.

— Co tobie maseczko do tego czy się obrazi czy nie,—gorzej będzie gdy ja się obrażę.

— Gorzej—czy tak? proszę jakiś ty zuch panie Gorgoniuszu, a starość studzi krew, — wartoby resztki zapału oszczędzić na inny raz—np. gdy spełnią się obietnice któreś tak uroczyście, bo na kolanach zaprzysiągł pewnej damie.

Pan Gorgoniusz postawił wielkie oczy—wpatrzył się uważnie w twarz domina i odrzekł.

— Bredzisz maseczko—bo ja nigdy nic i nikomu w tak uroczysty sposób nieobiecywałem.

— Nigdy i nic! Wiwat starzy kawalerowie! bo doskonale kłamią. A kto najmował mieszkanie na Krakowskiem-Przedmieściu z gabinetem dla bogini swoich marzeń—blondynki z niebieskiemi oczyma, a kto posłał pierścionek z rubinem jakiejś Zimoszce popisującéj się z cudownem *pas* na deskach teatralnych—a kto....

— Cicho—cicho maseczko, szepnął pan Gorgoniusz do ucha żółtego domina,—nie gub mnie! Powiedz gdzie cię mam spotkać—jutro— pojutrze kiedy chcesz; ale teraz odejdź.

— Ani jutro, ani pojutrze, ja cię chcę ukarać filucie za wszystkie twoje sprawki. Przysięgasz wierność kobiecie kochającéj cię całem sercem, a włóczysz się po maskaradach z jakiemiś podejrzanéj wartości dominami.

— Dla Boga! krzyknął pan Gorgoniusz, aż się wszyscy na niego obéjrzeli, nie waż się maseczko

ubliżać damie przy której mam szczęście znajdować się, albo lękaj się odwetu.

— Odwetu?! śmieszny Donkiszocie—ja miałbym się lękać odwetu, z twoich ust—ja której jeden wyraz potrafiłby ugiąć twoją papierowym kirysem okrytą głowę do moich nóg.

Scena stawała się coraz drażliwszą—ludzie oglądali się, przysłuchując się zbyt żywej rozmowie i oczekując jéj rozwiązania. Pan Gorgoniusz stał jak na rozpalonych węglach, twarz całą zalewały mu strumienie potu.

Czarne domino drżało jakby kto puszczał na jego głowę strumienie preiśnitza.

Żółte domino pociągnęło za sobą nareszcie całą gruppę, przeszli jedną i drugą salę aż znaleźli się w małym ciemnym pokoiku, w towarzystwie jednej tylko czułéj pary, która siedząc w kącie na ławeczce, gruchała do siebie słodkie słówka.

— Powiadasz że *masz szczęście* towarzyszyć téj damie,—więc w takim razie jestto ktoś dla ciebie zupełnie obojętny. Zgoda, chcę wierzyć, chociaż nie ufam aby porządna kobieta wchodziła na salę maskaradową szukać twojéj opieki. Ale

powiadam chcę wierzyć i uwierzę, ale aż w tenczas gdy czarne domino uchyli maseczki. Tyle lat mieszkam w Warszawie, oko mnie niezawiedzie.

— To być nie może,—ta dama chce zachować incognito, ona tu przyszła intrygować swego męża.

— Jeżeli nie znam jéj saméj, to nie znam i jéj męża—śmieszna wymówka.

— Nie—do tego nigdy nie przyjdzie.

— Mnie wszystko jedno czy przyjdzie czy nie przyjdzie, bo ja i tak odkryję tę ciekawą tajemnicę, choćby do białego dnia przyszło chodzić z wami.

— Jakby się tu pozbyć téj natrętnicy? szepnął pan Gorgoniusz prawie nieprzytomny do ucha czarnego domina.

— Czy znasz ją?

— Nie—ale domyślam się.

— Któż by to mógł być taki?

— Zapewne—no—ale zresztą my mężczyźni mamy tyle znajomości.

— Ależ ona mnie znać nie może.

— Niepodobna — zkądby — zresztą jeszcze chwilkę. — Po tem obracając się do żółtego domina dodał.

— Mówmy na serjo, ogólniki nie doprowadzą nas do celu.— Nietrzeba ci pewnie powiadać maseczko że tacy jak ja, mają wiele znajomości w Warszawie. Znajomości tę są dwojakie, jedne które lubimy a drugie które szanujemy.—Powiedz mi wyraźnie jakie gdzie i komu przysięgałem obietnice, a poznam do jakiego rzędu twoje natręctwo policzyć. Jeżeli znajomość z tobą godna będzie ofiar, to ta dama uczyni zadość twemu śmiałemu żądaniu i uchyli zasłony.

— Czy pewno.

— Pewno.

— No słuchaj—jakie były te obietnice nie potrzebuję powtarzać,—obietnice takich weteranów kawalerskiego korpusu zwykle po bliźnięcemu wyglądają. Scena o której mówię odbywała się w domu przy ulicy Przepiórczéj, w pokoiku z zielonym obiciem, przy śpiewie dwóch kanarków—klęczałeś na dywanie na którym jest deseń: Arab pojący konia,—trzymałeś w ręku krzyżyk alabastrowy, a osoba która słuchała twych przysiąg, była wówczas w fioletowéj w pasy atłasowéj su-

kni, w bransoletach z turkusami. Imię téj kobiety Matylda!

Czarne domino krzyknęło boleśnie i potoczyło się w objęcia przerażonego najkrytyczniejszem w świecie położeniem pana Gorgoniusza.

— Zemdlała! zawołał ktoś świeżo przybyły z sali.

Żółte domino podbiegło, uchyliło czarnego domina i poniosło obie ręce do oczu.

Ach! ah! ach! I żółte domino potoczyło się na ławeczkę.

Wody! wody! dwie osoby zemdlały!

Zamięszanie zrobiło się wielkie, pokoik zapełnił się ciekawymi spieszącymi ratować i gapić się. Pan Gorgoniusz niby pobiegł do bufetu po świeżą wodę, —ale wody przyniesiono ze trzydzieści szklanek, a on nie wrócił.

— Przeklęte gorąco! dwie osoby na raz zemdlały—powiedział ktoś w tłumie.

— Ledwo się ich docucono—rzekł drugi, —a i pomimo tego jeszcze ciągle mdleją.

Chociaż nie było pana Gorgoniusza znalazło się przecież wielu protektorów, którzy zaofia-

rowali się ze swemi usługami. Sprowadzono dorózkę i obiedwie chore damy odwieziono na ulicę Przepiórczą. Zakończenie tego drammatu zostawiam domyślności czytelników, nadmienię tylko, że pan Gorgoniusz nieraz parę wiorst drogi nakładał, a omijał ulicę Przepiórczą i że nazajutrz w kilkudziesięciu domach mówiono o dwóch damach, *które z gorąca zemdlały na maskaradzie.*

Takie to po większéj części intrygi, zajmują kilka tysięcy osób bawiących się w tajemniczość zupełnie nie tajemniczą; szukających pod maską tego, coby częstokroć w biały dzień przy świetle słonecznem odepchnęli od siebie. Pojmuję cel maskarady, ale maskarady dowcipnéj, harakterystycznéj, wesołéj, żywej, zajmującéj i porywającéj zarazem, ale niepojmuję wytrwałości, z jaką niektórzy do godziny trzeciéj i czwartéj włóczą się po salach, za wymiatającemi wszystkie kąty i zaczepiającemi wszystkich po kole dominami.

Miałem jeszcze coś wspomnieć o krakowiakach i krakowiankach, którzy jak faktorzy i faktorki na jarmarku, muszą być koniecznie na ka-

żdéj maskaradzie, — ale że widziałem raz dwie krakowianki i jednego żyda odjeżdżających w najlepszéj harmonii na *balik przyjacielski* więc.... pióro wypadło mi z ręki.

Tak nazwane *bale i baliki przyjacielskie*, są najwyraźniejszem objawem karnawałowego szaleństwa. Prawie co dzień widzieć można na wszystkich rogach ulic czerwone, żółte, zielone, białe afisze, na których wielkiemi literami wypisano *Bal* a poniżéj w różnych ozdobach sztuki drukarskiéj i litograficznéj:

W hotelu Nadwiślańskim przy ulicy Bednarskiéj, albo Trębackiej w domu dawniej...... *albo przy ulicy długiej pod Nr. albo przy ulicy Krakowskie Przedmieście pod Nr....* albo i dziesięć razy albo *dany będzie w dniu dzisiéjszym Bal przy rzęsistem oświetleniu salonów i dobranéj muzyce. Wszelkie napoje i przekąski, po umiarkowanéj cenie przy rychłéj usłudze. Każdy kawaler wprowadzić może z sobą bezpłatnie dwie damy i t. d. i t. d.*

Widziałem raz afisz, na którym wyraz *Bal* ułożony był z samych figur djabelskich z roga-

mi i ogonami — wyborna symbolika wszystkich tego rodzaju zabaw, użyta mimowoli, bo szanowny twórca chciał tylko dać poznać amatorom, że u niego cały bal odbędzie się po djabelsku, ogniście i siarczyście. Widziałem znów takie ostrzeżenie: *Nie ręczy się za całość płaszczy, futer, okryć, lasek, i kapeluszy* — na innym znów tulił się pod okładką taki napis: *Mężczyźni w spancerach, a damy boso przyjmowani nie będą.*

Przedsiębiercy tych spekulacyi są to po większéj części właściciele pewnego rodzaju kawiarń warszawskich, które nie są w zgodzie z szyldami, albo jejmoście, które już z bankrutowały na własnych wdziękach.—Najmują salę, brudną jak towarzystwo które ma się w niéj zgromadzić, skupują po cukierniach niedojedzone ciastka, po handlach kwaśne wina, portery i piwa, po restauracyach pozostałe szczątki siekanego mięsa i resztki pozmiatane z bufetów,—pożyczają szklanki, talerze i inne tego rodzaju sprzęty, wynajmują w składach mebli skupowane na licytacyach garnitury, *zamawiają kilka tuzinów tan-*

cerek, aby stawiły się na oznaczoną godziną w sukniach, które już widziały się z Nowowiniarską ulicą, z włosami okrótnie do góry podczesanemi, z licami niezmiernie ufarbowanemi, w trzewiczkach niebieskich albo żółtych, w pończoszkach czasem zanadto ażurowych i t. d. i t. d.

Do tak uorganizowanych salonów zaczynają się najprzód schodzić owe damy, potem sprowadzają strasznie głośną muzykę, a w ostatku dopiero zapalają świece w pożyczonych na ten fest szabaśnikach, lub oléj w kinkietach kawiarniowych.—Przybyłe damy przez ten czas zajmują się wesołą rozmową. Jedna drugiéj opowiada kto tu dla niéj będzie na balu—jedna przed drugą przechwala się liczbą adoratorów, wartością odbieranych prezentów, ledwie że nie ilością otrzymanych całusów. — Następują sprzeczki, późniéj kłótnie, których niewinną ofiarą jest najczęściej suknia albo stroik słabszéj przeciwniczki, poszarpane drobnemi rączkami zadąsanéj piękności.

Na odgłos jednakże pierwszego dzwonka, u sanek stojących przed domem, gdzie różnokolo-

rowa latarnia z wypisanym na czterech stronach szyldem *Bal*, oznajmia całej Warszawie miejsce wesołości, — nikną wszystkie spory, poprawiają się stroje wprawione w nieład w czasie żwawszych dysput i kilka tuzinów ócz zwraca się ku drzwiom mówiąc.

— To mój pan Leon.

— To mój pan Gustaw.

— To moja tłusta baryłeczka.

— To mój pręcik laskowy.

— To mój siwy baranek i t. d. i t. d.

Drzwi się otwierają—staje w nich pan Leon jeden ze złotej młodzieży, z cygarem w zębach z kapeluszem na głowie, ze szkiełkiem w oku, i przez kilka minut robi przegląd stojących pod bronią piękności.

— Ha! jak się masz Andziu,—dobry wieczór Julciu—bon soire Żanetko, ha! ha! ha! i ty tu blada Marysiu—hę, co widzę czarny djabełek?— Dalibóg to on—czy z piekła, czy za oceanu Atlantyckiego, bo już z rok cię niewidziałem! A patrzcie i ten niedosmażony kotlecik tu przylazł? Hej Jankosiu, niech cię piorun trzaśnie z twoim

wyborem! Ale każ no tam dać ponczyku karabinierskiego, bo Andzia, Julcia i Żanetka drżą od zimna. Mówię ponczyku, cztery szklanek tylko piorunem.—Jankosiu ucałuj mnie, bo sprowadzę ci tu piętnastu najtęszych burszów, ale takich co to aż ha! dałem im słowo, że tu u ciebie sam kwiat naszych... kwiatów. Hej ponczu! ponczu! bo tych twoich garsonów oknem powyrzucam.

Co raz częstszy brzęk dzwonków lub turkot dorożek oznajmia zjeżdżających się gości. Nadużylibyśmy waszej cierpliwości czytelnicy powtarzając się w fotografowaniu ich postaci,—rzućcie okiem na obrazek pana Leona i wyobraźcie sobie resztę figur, ze zmianą tylko imion, nazwisk i drobnych akcessoryi.

Na takie to *nieprzyjacielskie* wszelkim zasadom towarzyskim zebrana, pędzi ochoczo nasza złota młodzież, rzucać pełną ręką pieniądze na weksel pożyczone, suną cichaczem panowie urzędnicy żonaci i dzietni, marnować grosz wymęczony nieraz na biednym kliencie, zdobyty kosztem sumienia, dążą subiekci handlów, kupczyki, meklery, przechulać całodzienne a może

i cało tygodniowe oszczędności na pieprzu i rodzynkach, które powinny były wejść do pańskiej kassy, prowadzą się terminatorzy znakomitych fabryk, aby ofiarą ciężko zapracowanego grosza, zetrzeć z czoła wstyd i uczciwość wyssane z mlekiem ubogich matek. O złotej młodzieży wspomnę obszerniej w innem miejscu, tu tylko chciałbym przemówić do mężów i ojców rodzin, których każdy krok postawiony na podobnych progach, jest występkiem w obec Boga i ludzkości; przytaczając im zdarzenie, na które własnemi oczyma patrzyłem, noszące wyraźną cechę kary Bozkiej.

Pan Kalixt człowiek blisko czterdziestoletni, żonaty od lat kilku, urzędnik w jednem z biur tutejszych, pomimo tego że miał młodą przystojną żonę i dwoje ślicznych dzieci syna i córkę, nie mógł odżegnać się od dawnych zwyczajów kawalerskich. Nieraz chociaż miał intencyą rozstać się z niemi, natura ciągnęła wilka do lasu i wciągała w zakorzeniające się nałogi. Nie pamiętam w którym roku ale dość że nie dawno, pan Kalixt wróciwszy z biura, widocznie był ja-

kiś niespokojny i jak ów pan Jacek Massalskiego.

> Myśli chodzi wielkim krokiem,
> To na zegar spojrzy bokiem,
> To zcicha coś gadać pocznie,
> To przez okno wytknie głowę,
> To wyprawia spać Jackowę,
> Zegar późni się widocznie,
> Jejmość przewlokła w gawędzie,
> Dała dobranoc nareszcie;
> Posłał dowiedzieć się w mieście,
> Czy téj nocy północ będzie.

Tak i on, choć poczciwa żona blondynka z niebieskiemi pełnemi wyrazu oczyma, zbliżyła się do niego, rozgarnęła pukle ciemnych włosów i złożyła na jego czole serdeczne pocałowanie, choć za nią nadbiegły dzieci, i synek pięcioletni usiadł mu na kolanie jak na koniu bawiąc się z dewizką od zegarka, a cudownej piękności czteroletnia dziewczynka, stanęła na krzesełku, objęła go za szyję drobnemi rączkami i gruchała mu do ucha brzmiące jak śpiew słówka słodkie urocze słówka; on ciągle był nie swój i roztargniony.

Nareszcie zdjął synka z kolana, uwolnił się z objęć dziewczynki, i chodził po pokoju, odpowiadając żonie urywanemi wyrazami. Potem zakręcił do biurka, dobył coś z niego, schował do pugilaresu, zapalił cygaro i kazał podać sobie algierkę.

— Wychodzisz mężu? zapytała nieśmiało żona.

— Radca prosił mnie na preferansa—nie wrócę aż około drugiej w nocy.

— A tatko powiedział że ze mną potańcuje— wyszczebiotała córeczka.

— A mnie tatko obiecał opowiedzieć historyę o tym królu.

— Potem—potem—dobranoc ci Joasiu.— A malcy do matki—rzekł do dzieci czepiających się algierki.

Wyszedłszy stanął przed domem passując się z sobą—jakieś smutne przeczucie owiało go nagle z ulicy; wrócę—mówił do siebie; albo pójdę rzeczywiście do radcy,— ale djabeł przemógł i pan Kalixt z głową zwieszoną poszedł powoli ku Trębackiej ulicy. Wchodząc na Wierzbową

ujrzał zjeżdżających się do teatru—dobył zegarek, godzina siódma, i zakręcił ku kassie teatralnej. Grano jakąś nową sztukę, nie było już biletów—poszedł na górkę do Loursa, przegrał kilka partyi w bilard i wychodząc w pół do jedenastej rzekł do siebie. Pójdę do domu—ale warto obaczyć choć z ulicy co się tam dzieje. Nowo-Senatorską wyszedł wprost na dom dawniej Steinkellera, czerwona latarnia zaświeciła mu w oczy,—przystanął trochę—popatrzył i nawyknienie ciągnęło go ku czerwonej latarni, przeczucie odpychało od niej, aż w tém mignęła w sieni jakaś biała sukienka, za nią ukazała się główka w loczkach. Zaintrygowało to pana Kalixta, otrząsnął się jakby po zimnej kąpieli, dał susa i już był koło loczków i białéj sukienki.

Na balu znalazło się kilku dawnych znajomych, którzy postanowili zaraz na wstępie oblać emancypacyą żonkosia płomienistym ponczykiem. Pan Kalixt pił, dowcipkował, ale nie brał udziału w tańcach, dopóki nie zaszumiało mu w głowie, ale gdy piąta szklanka ponczu karmazynem oblała mu lica, gdy loczki i biała sukienka sta-

nęły mu przed oczyma, zapomniał o wszystkiem i poprosił swoją damę do walca — walcował zawzięcie dopóki oblany potem nie upadł na krzesło,—zbladł; słabo mu się zrobiło, —troskliwa o jego zdrowie tancerka chcąc go jak mówiła *otrzeźwić*, otworzyła lufcik—w tej chwili rumot zrobił się wielki, bo któraś z walcujących par potoczyła się na przeciwległe okno,— dwie szyby wyleciały jakby nigdy nie były w oknie, wybite głową pijanego tancerza,—wiatr zawiał, pan Kalixt krzyknął boleśnie, i zanim przestała grać muzyka i zdołano się do niego przecisnąć, leżał już na ziemi z pokurczonemi rękoma, z wykrzywioną twarzą w okropnych cierpieniach.

Troskliwa o dobrą zabawę gości pani przedsiebierczyni, kazała sprowadzić natychmiast dorożkę, wpakowano w nią bezwładnego pana Kalixta i odwieziono do domu, gdzie biedna żona nie spodziewała się bynajmniej ciosu, jaki w nią tak nagle uderzył.

Wszelkie środki lekarskie okazały się bezskutecznemi, sparaliżowanie połowy ciała było tak silne, że długo wątpiono o życiu chorego,—po-

wstał nareszcie, ale kaleką na całe życie. Jedna ręka, jedna noga, bok i pół głowy straciły przyrodzoną władzę—ogłuchł, chodzić tylko mógł na dwóch kulach i to z wielką trudnością, a suchą rękę nosić musiał na temblaku. Rozumie się że z powodu słabości zdrowia dostał dymissyę i jednorazowe wsparcie. Funduszów zapasowych żadnych nie było, nędza czekała kalekę i jego dzieci, ale poczciwa żona postanowiła poświęcić się dla ich dobra. Postarała się najprzód o kilka lekcyi muzyki i języka francuzkiego, co jej przynosiło kilka złotych dziennie, potem założyła skromniutką pensyjkę dla panienek i tak opędzając codzienne potrzeby, ani jednem słówkiem wyrzutu, nie przypomniała nigdy nieszczęśliwemu, obarczonemu wyrzutami sumienia kalece, że on jest sprawcą swego i ich nieszczęścia.

Z balików przyjacielskich, które starałem się z harakteryzować najwierniej i z fizognomii i ze skutków, przeniosę czytelników na ulicę Ogrodową pod trzech murzynów albo na Krochmalną do sal Szefera.

Tam w każdą niedzielę karnawałową groma-

dzi się rzesza terminatorów i uczniów wszelkich rzemiosł i fabryk, stangretów, lokai, kucharzy, kuchcików, kucharek, młodszych, posługaczek wreszcie żon i córek uboższych rzemieślników.— Jest to resursa niższej klassy z właściwemi sobie cechami.—Za wejście opłaca się najwyżej kilkanaście groszy, a i za to można jeszcze wypić darmo szklankę kawy, herbaty lub piwa. Kobiety nic nie płacą, bo idzie o to, aby jak najwięcej mogło się ich zgromadzić.

Zabawa zaczyna się około godziny 4tej po południu a kończy się o 10, bo rzemieślnicy wracać muszą do domu aby ze świtem wziąść się do roboty, a służące, aby powrócić na godzinę przez państwa wyznaczoną. Sala ubrana jest ławkami, oświecona kinkietami, zgalerją dla widzów wyższego tonu, którzy przybędą przypatrywać się zabawie ludu.—Muzyce płaci się za każdy taniec,— to jest po przetańczeniu pięć lub sześć razy w około sali, muzyka przestaje grać, a upoważniony i pamiętający o swoim obowiązku delegat, staje w kole i wybiera dziesięcinę z pięcio groszówek. — Między mężczyznami rzadko tam można

ujrzeć eleganta we fraku i w białych rękawiczkach, chyba jakiego lokaja, który dodziera pańskie rzeczy, — same tużurki, szpancery i kapoty, — ale za to jaka rzeźkość w postaciach, jaka siła, jaka swoboda w ruchach. — Między płcią piękną wiele znów sukienek ale to wszystko perkaliki, płócienka, a najwyżéj tarlatany; trafi się przecież i wzorzysta spódniczka i sznurowany na piersiach gorsecik a twarzyczek okrągłych rumianych, uśmiechniętych, oczek figlarnych, żywych, a nie zaczepnych, to ręczyć można że więcéj aniżeli we wszystkich razem wziętych salonach i salonikach warszawskich. — Chociaż wejście dozwolone niby każdemu, jednakowoż sami goście pełnią obowiązki przestrzegaczy, aby nie wcisnęła się tam żadna dama w atłasach idąca na balik przyjacielski, — żaden panicz warszawski, goniący za świeżemi wrażeniami. Smutne historye dzieją się nieraz gdy przestrogi dane przy wejściu nie pomagają; młodzież bowiem rzemieślnicza silnie obstaje przy swoich przywilejach, częstokroć zbyt dosadnie objawia swoje zadowolenie.

Szczególnie nie cierpi paniczów szukających

popularyzacyi pod trzema murzynami, a poznaje ich nie tylko z ubioru ale i ze sposobu tańczenia i z białych rąk, z cienkiej bielizny i t. p. Przed kilkoma laty zebrało się dziesięciu burszów i wychyliwszy na dobry humor kilka butelek szampana w kawiarni u Łuniewskiej, wzięli czworo sanek i popędzili do Szefera, aż śnieg bryzgał wyżej łbów końskich. Wchodząc dali po rublu *entré* chcąc zapewnić sobie względy gospodarza, i nie zwracając uwagi na zmarszczone czoła panów terminatorów ucieli obertasa. — Domyślać się można, że wszyscy zgrabniej i lżej hulali aniżeli tancerze od młota lub hebla, dziewczęta więc siarczyście zerkały ku nim oczyma, odsuwając się od surdutowych i spancerowych dandych. Tu i owdzie, poczęły się szepty, szklanki na bufecie żywiej szły z rąk do rąk, i nieszczęście mieć chciało, że któryś z paniczów lakierowanym bucikiem, udeptał potężnie obutego w juchty szewczyka.

— Co ty będziesz ludzi deptał? krzyknął obrażony.

— Panicz nie uważał i wywijał dalej zwancgo szota.

— Héj chłopcy—zdjąć mu buty,—a choć kogo udepcze to go nie skaleczy.

Zdjąć mu buty! zdjąć mu buty! zakrzyczano w tłumie.

I w mgnieniu oka ów panicz siedział już na posadzce bez lakierków, które oknami wyleciały na świeże powietrze.

Koledzy chcieli się ująć za tak dziwnie rozbrojonym kompanem, hałas zrobił się wielki,—czeladź rzemieślnicza hurmem rzuciła się ku nim i nie wyszło pięć minut, a dziewięć par butów doświadczyło losu, jaki spotkał lakierki. Wszczęła się bójka, w któréj miękkie ręce bosych paniczów bardzo słabą były im obroną. Grad pocisków sypał się na nieszczęśliwych z różnych stron, a rejterada była trudna. Dwóch biło, a jeden trzymał za szose od fraka. Ten wygrał kto miał frak starszy, lub sukno słabsze, bo zostawiwszy szose w ręku przeciwnika, w kurtce i boso łatwiej przesliznąć się mógł ku drzwiom. Ani prośby gospodarza, ani groźby policyi nie

zdołały przywrócić porządku, dopóki ostatni z paniczów niewyleciał za drzwi. Wtedy muzyka zagrała, i szot poszedł dalej w najlepsze jakby nic nigdy nie zaszło.

Ale w jednej z ustępowych izb był płacz i zgrzytanie zębów,—obdarci, potłuczeni, pokrwawieni panicze, rachując się z guzami, obcierając ślady krwi i wygrażając się hulającej młodzieży, przemyślali nad tem zkądby tu wziąć butów, bo wysłani na podwórze delegaci, zdali rapport, że zgraja spektatorów otaczających zwykle srebrną salę, sądząc, że buty spadają ze śniegiem, korzystała z dobroczynnych darów natury. Wracać bez butów było niepodobieństwem, raz dla zimna i śniegu, które mogły bardzo niekorzystnie oddziałać na delikatne ich zdrowie, drugi raz że rozniosłoby się po Warszawie, iż dziesięciu ze złotej młodzieży, wróciło z srebrnej sali bez butów. Pierwszy pomysł zwykle bywa najszczęśliwszy—czterech paniczów weszło w dobrowolny układ z sankarzami i wkrótce cieniutkie ich nóżki wyglądały jak druty od konduktorów w drewnianych przy ziemi ossadach. Jednemu przynie-

siono od żyda przydeptane pantofle, dla dwóch znaleziono na piecu dziurawe kalosze gumalastyczne, dwom dziewki miejscowe pozwoliły swoich lamowanych czerwonemi tasiemkami trzewików, a ostatniemu jakiś dziad siedzący pod progiem zaofiarował swoje łyczane chodaki, ale on wolał wrócić do Warszawy boso aniżeli w dziadowskich chodakach.

Tak się skończyła ta pamiętna w dziejach srebrnych sal, walka arystokracyi z demokracyą, która na długi czas była przestrogą dla panicz ów wdzierających się pod murzyny; — tak dalece że kiedy później wybierał się który na tak niebezpieczną wyprawę, to doświadczeńszy kolega mówił mu: *Ej pamiętaj wrócisz bez butów!*

Gdy liczniejsza część publiczności warszawskiej bawi się w maskarady, w baliki przyjacielskie i w srebrne sale, wyższy świat gromadzi się w salonach resursy kupieckiej, lub daje u siebie głoszone na tydzień wprzód i tydzień potem bale.

Resursa kupiecka jest to niby wielki rezerwoar do którego zbiegają się strumienie różnych źródeł. Ujrzysz tam książąt i hrabiów i najzna-

komitsze dostojeństwem osoby i świeżo wcielające się w wielkie owe koło jednostki, i figury od łokcia i wagi, a wreszcie i ludzi odznaczających się w świecie artystycznym i literackim. Jest to niby mozajka różnych odcieni, niby komput z owoców w cieplarniach wychodowanych, z ogrodowego agrestu i z polnych gruszek.

Więc dobrze,—więc jest sympatia pomiędzy konarami jednego drzewa—więc zbliża się ów wiek zapowiedzianego przez poetów i marzycieli wielu braterstwa?

Ale jakiż skutek z tej mniemanej popularyzacyi?— oto taki, że damy wysokich stopni towarzyskich stroją się z przywyknienia. Panie bankierowe aby świat podziwiał ich bogactwa, a urzędniczki i kupcowe, aby pierwszym dorównać i broń Boże nie pokazać się w mniej ozdobnym albo w mniej modnym stroju. Damy mogą wyrzucać dochody obszernych włości, na prosto z Paryża sprowadzane suknie, bankierki szczęśliwym operacyom winne są bijące w oczy bogactwa – a reszta? miły Boże, częstokroć kosztem szczęścia całego życia opłaca jeden wieczór w re-

sursie jedną suknię grodeturową albo koronkową?!

W inném miejscu wystąpię przeciw tej zdrożnéj chorobie *bawienia się za długi albo decesa*, a tu jeszcze pomówić muszę trochę z *Kurjerem warszawskim*, pisemkiem *nader* popularnej barwy, które *nader* ważną gra rolę w tych wszystkich historyach karnawałowych.

Fizycy utrzymują że nic w naturze w miejscu nie stoi—fałsz temu twierdzeniu zadaje Kurjer warszawski, który ani na krok nie chce postąpić od czasu zgonu protoplasty swego śp. Ludwika Dmuszewskiego. Co wówczas uchodziło, dziś żadną miarą wystarczyć nie może, z czego dawniéj ludzie bywali zadowoleni, dziś na to ramionami ruszają.

Mniejsza oto że gdybyśmy odbyli sekcyą anatomiczną na każdym numerze Kurjera, to byśmy w tém na pozór jednem ciele znaleźli cząstki: Czasu, Gazety lwowskiéj, Pism poznańskich, Gazety warszawskiéj, Gazety codziennéj, Kroniki, Biblioteki warszawskiéj Tygodnika lekarskiego, Pamiętnika religijno-moralnego, Księgi Świata, Ro-

czników gospod: krajów: i innych rozmaitych pism czasowych arcy sztucznie przyswojone, ależ idzie o wpływ o dążność. W artykułach własnych Kurjera, spotkać można albo jakieś *okrutnie dowcipne* frazesa *pana Kruka*, które nie zajmują i nie śmieszą, albo opisy balów, wieczorów i wieczorków, zasadzające się głównie na wytknięciu z imienia i nazwiska strojów strojnych dam.—Ile niezgód domowych wstrząśnie spokojem zacnych osób, ile wexli wyda się w karnawał na zaspokojenie *niby* gwałtownych potrzeb, na prześciganie się w strojach, ile matactw i decesów spocznie z tego powodu na sumieniach urzędników — ile miernych talencików przesadzonemi pochwałami wzrośnie w dumę i próżność, zagradzające im drogę dalszego kształcenia się, tyle Kurjer śmiało może nakarbować kresek i powiedzieć: — *o to są grzechy mojego żywota*! — Prawda że ogłoszenie jawne i publiczne, że pani X. miała suknię jedwabiem i złotem tkaną, a pani Y bertę i falbany koronkowe, jedna Kurjerowi prenumeratów, — ale od czegoż baczność na święte powołanie pism publicznych? We krwi, w usposobie-

niach naszych, mamy dość podniety do małpiarstwa, do naśladowania zbytków, do zapamiętałéj nieoględności na przyszłość; czy zadaniem pisma popularnego ma być dolewanie siarki do ognia,—niech rozsądni i obojętni czytelnicy rozstrzygną.

Wiem że takiem przywołaniem Kurjera przed kratki zdrowego sądu, ściągnę jego gromy na całą moją przyszłość,—ale czyż to jedne gromy Warszawa na mnie wymierzy. Cel mój sięga za obręb teraźniejszości—więc ufność w Bogu i w ludziach dobrej woli!

Jak do oddychania trzeba powietrza, do wegetacyi deszczu i promieni słonecznych, tak do uprzyjemnienia życia potrzeba rozrywek i przyjemności. Rozrywka po pracy jest taką koniecznością, jak sen, jak używanie pokarmów. Nędzny wyrobnik który przez cały tydzień od świtu do zmierzchu ciężko pracował,—w niedzielę za oszczędzonych kilka groszy szuka rozrywki, idzie do równego sobie wyrobnika, lub przyjąwszy go w swej izdebce dzieli się z nim bodajby kawałkiem czarnego chleba i szklanką piwa. Towarzyskość

wrodzona jest ludziom, i tego można nazwać najnieszczęśliwszym, który w bratnim uścisku trosk swych osłody znaleźć nie może. Z niewypowiedzianą więc rozkoszą widzę ludzi wiążących się w towarzyskie kółka, z radością patrzę na zgromadzenia rodzinne spojone szczerą miłością, ożywione nie udanem weselem, nie skrępowane powijakami przymusu. Z sercem pełném przychylności wchodzę w progi tych domów, bogobojnych, cichych, wylanych dla przyjaciół, a nie goniących za próżnością i zbytkiem. Widzę nad niemi anioła spokoju, unoszącego róższczkę oliwną, widzę zamożność ścielącą pod ich nogami owoce sumiennych prac i trudów — widzę jutrzenkę szczęścia rodzinnego i towarzyskiego, wschodzącą nad ich głowami. W takich to domach, gdzie jak powiada autor Mohorta.

Dom nie wielki—w tem gość wchodzi,
Ot i domek się rozszerzył,
I wnet miejsce gdzieś się rodzi.

zabawy karnawałowe noszą na sobie cechy téj patryarchalnej wesołości, która nietylko oczy ale

i serca ku sobie pociąga.—Tam nie patrzą na ilość, ale na jakość osób, nie na suknie, kaszpenie, fermoary i brosze, ale na opromienione radością lica.—Tam nie biegną z polskiemi i francuzkiemi frazesami na przyjęcie wchodzących gości, ale też i nieobliczają po cichu szklanek wypitej herbaty.

Tam nie popisują się z koncertami wokalnemi i instrumentalnemi, bo tam niepotrzebują sztukować obłudy muzyką lub literaturą.—Takie wieczorki i zebrania karnawałowe wyglądają do przechodzących ulicami z wielu okien drugo i trzecio — piętrowych mieszkań — tam czasem i słońce powita tańczących, tam się z żalem rozstają, tak jak witali się z radością, bo takie rozrywki nie zrujnowały ani gospodarstwa ani gości, bo pamięć o nich nie wyciśnie łez, nie sprowadzi rozpaczy, ale i owszem doda jeszcze poczciwej zachęty do podobnie poczciwych rozrywek. Inaczej zupełnie rzecz się ma z wielkiemi balami w wielkich apartamentach. Sznurówka etykiety wiąże tam usta ręce i nogi, a każdy niemal ruch, każdy uśmiech i głośniejszy wykrzyknik, objęty być musi programem. O ile jednakże zbierze

towarzystwo *same swoje*,—o tyle mniej pretensyi a więcej życia.

Przeciwko strojom, przeciwko wspaniałemu a często i gościnnemu przyjęciu, nic nie mam do nadmienienia, — dlaczego nie mają użyć darów Bożych ci, którym się więcej tych darów w podziale dostało. — Na hojności, na wystawności takich domów, skorzysta fabrykant, rzemieślnik, sługa, a nawet i wyrobnik,—pieniądz toczący się kołem dostanie się częstokroć w takie ręce, które go niecierpliwie wyglądały, dla których on kwestyą bytu stanowił, a to rzecz nader ważna. W takich zresztą domach, nie podobna aby nie znalazło się choć dwóch lub trzech z młodzieży niższej warstwy społeczeństwa, ci zasmakowawszy w towarzystwach, w których przyzwoitość jest najgłówniejszym warunkiem, zapragną może wykształcić się na szlachetniejszych wzorach, aniżeli tych jakie im baliki przyjacielskie, kawiarnie i bilardy dostarczyć mogą. Niegdyś domy magnackie były dla młodzieży szkołą dobijania się zasług, — niech by dziś były przynajmniej *szkołą gustu i przyzwoitości!* Raz tu jeszcze przecież wspomi-

nam Kuryera i dziwię się, że ludzie znakomici stopniem towarzyskim i osobistemi zasługami, pozwalają aby imiona i nazwiska ich żon i córek, Kurjer przez cztery tysiące exemplarzy i to jeszcze z takiéj albo z takiéj sukni, z takiego albo takiego stroju publikował,—aby te imiona poniewiérały się po szynkach i bawaryach, aby w nie potem obwijano pieprz i świece łojowe. Przyznam się że chwilowa próżność drogo opłacona.

Ruch karnawałowy ma także odmienną postać, ludzie późno wstają, bo późno kładą się spać a połowa panów kancelistów i aplikantów stawi się zaledwie na oznaczoną godzinę, — inni przychodzą dopiero około jedenastéj i dosypiają resztę w biurze, bo na wieczór czeka ich nowa praca; znowuż są lub będą na następny wieczór *najęci do tańca.*

Młodzież warszawska dzieli się na trzy kategorye *złotéj*, *srebrnéj i miedzianéj młodzieży*. Młodzież złota ma zwykle więcéj długów niż majątku, więcéj zarozumienia niż rozumu, więcéj pretensyi niż wartości. Mieszka zwykle w pierwszopiętrowych apartamentach i to przy pryncypal-

nych ulicach, jada broń Boże nie gdzie indziej jak tylko u Chevrego, François lub Wasilewa, pija czekoladę u Loursa, bawi się dwie lub trzy godziny na znanéj i głośnéj w całéj Warszawie *Górce* jeździ nie inaczej jak tylko najętemi od Wagnera karetami, albo w ostatku dorożkami, które noszą nazwę Wagnerek. Zajmuje w teatrze pierwsze rzędy krzeseł, przychodzi do teatru w połowie pierwszego aktu a w połowie ostatniego wychodzi. Proteguje silnie balet i niektóre indywidua teatru rozmaitości, na wieczory przybywa najwcześniéj około północy, i odgrywa rolę znużonych, z obojętnionych do świata, — albo wesołych aż do grubijaństwa. Każdy z nich musi mieć ex-officio panią swego serca, któréj wynajmuje mieszkanie kupuje *pyszne* stroje, płaci loże w teatrze, przysełła powozy na spacery! Szczęście to spotyka najczęściéj jaką piękność wcale nie piękną, zmieniającą adoratów co tydzień, co miesiąc co kwartał, a najpóźniéj co rok, a trwa dopóty dopóki ta pani serca, nie znajdzie pana bogatszego mającego piękniejsze powozy, albo droższe klejnoty.

Do najgłówniejszych cech złotéj młodzieży

nalezy próżniactwo, — setny zaledwie jest jakim urzędnikiem *koczującym dla karjery* a i to zwierzchnicy mają go zwykle za niebyłego,— reszta po całych dniach nic nierobi, —jakiekolwiek zajęcie uważając za rzecz zupełnie nie właściwą. W delikatnéj, wyszczotkowanéj, wyperfumowanéj rączce jeżeli ujrzysz pióro, to pewnie kreślące na welinie słodkie wyrazy pół polskie pół francuzkie lecz do kogo to żal się Boże powiedzieć jeżeli książkę to kalotechnikę czyli rady przechowania piękności ciała, lub coś podobnego w obcym języku. Reszta czasu zbywająca od tych niby poważniejszych zatrudnień, zabija się na oddawaniu wizyt paniom swoich i cudzych serc, na kartach, na wałęsaniu się po ulicach, na impertynenckim zaglądaniu w oczy przechodącym kobietom, na zaludnianiu przyjacielskich balików i t. d. i t. d.

Jak do etykietalnego ubrania potrzeba mieć frak, tak do otrzymania dyplomu na złotego młodzieńca, potrzeba koniecznie mieć długi. Są one w prawdzie naturalną kosekwencyą wszystkich zbytków, ale młodzieniec któryby nie miał dłu-

gów uważany byłby za skąpca, a to popsułoby reputacyą na zawsze. Ma kto 3,000 rs. rocznego dochodu, to powinien to wszytko stracić i trzy razy tyle długów zrobić, a wtedy złota młodzież chórem wykrzyknie: *to brat*! Rozumie się że w takim stanie rzeczy trafiają się różne figle, które bynajmniej nie psują sławy dowcipnym chłopcom i owszem nazywane są jeszcze doskonałemi obrotami.

Pan Mieczysław nie miał pieniędzy, a chciał koniecznie dać kolacyą dla pewnych dam,—kolacyą na której miało być 60 osób. Kredyt jego był bardzo zaszargany — przemysł musiał mu przyjść w pomoc.—Idzie do pewnego znanego sobie fabrykanta pojazdów, daje 100 rubli zadatku na wybraną karetę, i każe ją sobie do domu w którym mieszkał odprowadzić. Fabrykant odseła karetę - pan Mieczysław płaci czeladnikom po pół imperjale, i mówi że będzie jutro u fabrykanta i zapłaci resztę. Mija jeden, drugi i trzeci dzień—fabrykant idzie dowiedzieć się czy kareta dogodna—służba mówi że pana niema w domu; idzie na drugi dzień —mówią że pan śpi—trzeciego

dnia pan chory, czwartego ma gości, aż wreszcie gdy już nie starczyło wymówek, a natarczywość zwiększała się w miarę ubytku cierpliwości, pan Mieczysław oświadcza wyraźnie że karetę odstąpić musiał pewnemu znajomemu z Wołynia, a pieniądze *rozeszły się*. Biedny fabrykant kontentować się musiał rewersem—a pan Mieczysław dał kolacyą i rozrucał rublami na wszystkie strony aby znano chojność *jaśnie pana.*

Młodzież srebrna są to urzędnicy, którzy dzięki zdolnościom lub protekcyi mają od 300 do 600 rs. pensyi, młodzi patroni i obrońcy sądowi, buchalterzy bankierscy, a wreszcie subiekci znakomitszych handlów: Mieszkają zwykle na drugich i trzecich piętrach, ale w mieszkaniach u nich porządnie, a czasem i jaki malutki zbyteczek spostrzedz można. Jadają zwykle smaczne choć skromne obiadki u Karczewskiej ale pasyą mają mówić gdy ich przy takim obiadku przydybiesz.

— Zaszedłem tu przypadkiem,—bo ja stołuję się u Micheaux.

Najwybitniejszą cechą srebnej młodzieży jest

małpiarstwo. Bajkę o żabie która nadstwiała nogę widząc że konia kują, możnaby bez grzechu przybić każdemu nad łóżkiem, aby przetarłszy ze snu oczy zaraz na nią popatrzył.—Nie mogąc wynajmować dla kogoś mieszkań, karet i lóż, srebrna młodzież uderza szturmem na wszystkie sklepy i sklepiki z cygarami, z mydełkami i t. p. i zdobywa serca kramikowych bogiń, które, pod opieką Merkurego, toczą wesoło godziny swego życia. Nie mogąc trzymać wynajętych karet posługuje się dorożkami jeżdżąc niemi *z pańska.*

Słysząc ten przymiotnik jeżdzenia, nie mogłem pojąć co on znaczy, aż raz podsłuchałem lekcyę którą dawał jeden z doświadczonych na tém polu potulnemu nowicyuszowi.

— Połóż się w dorożce, a nogi załóż na ramiona dorożkarzowi!

Srebrna młodzież rzadko bywa w teatrze, ale zawsze w pierwszych rzędach krzeseł i pilnuje się ścisle ruchów złotéj młodzieży, aby wyjść z nią razem i zająć pozycyę na dole przy schodach,—bo to rzecz ważniejsza od rozwiązania

sztuki, od rzucenia oklasku artyście, zajrzeć w ząbki każdej z wychodzących dam.

Złota młodzież robi długi z mody, srebrna z potrzeby. Lichwiarze warszawscy z bankrutowaliby na piękne, gdyby nie ratowali się *potrzebami* srebrnej młodzieży i *posłuszeństwem* poczciwych mężów. Jak nie dać wexlu choćby na duszę, nie sfabrykować na nim podpisu choćby swego zwierzchnika, kiedy trzeba opłacić względy jakiej *zimoszki*, popisać się z modnym garniturem koniecznie od Haura albo Iniarskiego, z bucikami od Müllera. Skutki będą jutro, pojutrze, za miesiąc, a przez ten czas co to jeszcze może się zrobić? A nuż tak jak przepowiadał Żółkowski deszcz złoty padać zacznie?

Młodzież miedziana, to cały rój kancelistów, aplikantów i subjektów, dobijających się w pocie czoła do szczelnie zamkniętych bram fortuny. Tacy mieszczą się zwykle pod strychem najbliżej nieba. Jeden z takich mówił mi, że ma bardzo doskonałe mieszkanie, bo codzień może pocałować się twarz w twarz z królem Zygmuntem mówiąc sobie dzień dobry. Narzekał tylko, że

przyjemności téj niedoświadcza sam jeden, gdyż w izdebce mającéj powierzchni 30 łokci kwadratowych mieści się oprócz niego trzech jego kolegów. Młodzież miedziana najmuje mieszkania miesięcznie i nie wiele robi sobie zachodu z ich umeblowaniem. Do zamożniejszych należy mogący mieć własne łóżko, — sienniki lub sofki nie odznaczające się miękkiem wysłaniem, zastępują częstokroć posługi łóżek. Świece osadzają się zwykle w butelkach, a samowar i kilka szklanek są zwykle własnością całéj osady.

Jak mieszkania nie grzeszą zbytkiem, tak i resztę koniecznych potrzeb zaspokaja się z podobną oględnością. Młodzież miedziana z zawiązanemi oczyma trafić by mogła do miejsc opatrzonych tablicą z napisem: *Jedzenia w każdém czasie* w których za 20, za 18 a czasem i 15 kop. zaspokajają głód powtarzając sobie stare jak świat zdanie, że człowiek nie na to żyje aby jadł, lecz na to jé aby żył.

Przy takiem życiu nie możnaby myślić o przyjemnościach, gdyby śmielszych nie ratował przemysł. Wielu z miedzianéj młodzieży przyjmuje

na siebie protektorjat mniej znanych kawiarń. Siedzi tam od rana do godziny dziewiątej, a od trzeciej do północy, bawiąc dowcipem obojętnych gości, chwaląc wyborną herbatę, smaczną kawkę Józi lub Zuzi,—wdzięki zgrabnych kawiareczek służąc w bilard, a w biurze, na ulicy i przy każdej sposobności, nosząc z sobą szyld protegowanej kawiarni. Między miedzianą młodzieżą pełno jest wybornych bilardzistów, zręcznych graczy w domino, w warcaby a nawet i w szachy, za co wszystko wypije się nie jedna szklaneczka herbatki i wieczór przyjemnie się przepędzi.

Nie mając ani złotych, ani srebrnych kluczy do otwierania kobiecych serduszek, młodzież miedziana eksercytuje swe wrażenia goniąc po chodnikach za panienkami idącemi lub wracającemi z magazynów, ofiaruje im swoje usługi w odprowadzeniu do domów i po parę godzin rano i wieczór drze niepotrzebnie buty, częstokroć na kredyt wyproszone. A choć czasem dostanie się w udziale jaki nie zbyt słodki przysmaczek, posłyszy się jakieś nie koniecznie grzeczne słówko,—to przysmaczki i słówka chowają się *ad acta*, a ekser-

cycye idą dalej i stanowią temat wesołych pogadanek biurowych i kawiarnianych.

Młodzież miedziana nie ma długów, bo lichwiarze zamykają jej drzwi przed nosem,— w teatrze bywa zwykle na *jaskółeczce* i żywo proteguje sztukę, klaszcząc zajadle i przywołując protegowane przez siebie talenta;—a w karnawał dostarcza szeregi *najemników do tańca* o których rozpiszę się obszerniej w innem miejscu.

Teatr w karnawał dość bywa uczęszczany, zwłaszcza jeżeli przedstawiają nowe sztuki, lub jeżeli zjawi się jaka przejeżdżająca śpiewaczka albo baletniczka; nigdy jednak nie bywa takiego natłoku jak w jesieni lub w poście, które to pory są prawdziwemi żniwami dla teatru.

Magazyny mód i wszelkie handle z serdecznym żalem patrzą na każdy dzień ubywający z karnawału, bo w ogóle nie na rękę im gdy warszawianie żałują za grzechy. Dość przejść się po ulicach Warszawy aby dojrzeć z jaką kokieterią wyglądają z za taflowych szkieł, najświeższe adamaszki, atłasy,bengale, kwiaty, stroiki, garnitury i t. p. Zdaje się że mówią—wstąp

i kup u mnie! i cóż za dziw że litościwe serca warszawianek nie mogą znieść tych próśb. One tak lubią uczynić zadość czułym prośbom, a jakże zasłonić oczy i zatkać uszy, kiedy to wszystko takie piękne, jak nie kupić kiedy kupcy mówią, że wszystko takie tanie!? W istocie dobry to pomysł te wystawy sklepowe, mnoży się ich coraz więcéj i myślę, że dojdziemy do téj perfekcyi, iż jak teraz pokazują nam figury woskowe podług żurnalu wystrojone, tak później pokazywać będą żywe. A jeżeliby w przyszłości pomysł założenia kantoru małżeństw przyszedł do skutku, to kto wie czy nie ujrzymy za szkłem jakiéj kandydatki do ślubnych więzów z takim na plecach anonsem. Wieku lat 18, posagu 15,000 rs.! Wiwat! wystawy!

Jak magazynierki i kupcy nieradzi są ubywającemu karnawałowi, tak konie sankarzy i dorożkarzy wyglądają co prędzéj jego końca. Nieszczęśliwe te zwierzęta cierpią za wszystkie szaleństwa ludzkie, bo chciwi zysku sankarze uganiają niemi do świtu, — zaprzęgając znów rano jak tylko elegancki świat budzić się zacznie. I by-

łoby jeszcze pół biedy gdyby jeżdżono tak jak Bóg przykazał, ale młodzież złota i srebrna przepłaca czeladź dorożkarską, aby roztrącała ludzi po ulicach. Biedne koniska ledwie nieraz wyciągają nogi,—a panicz gwiżdże piosnkę przez zęby i uśmiecha się gdy widzi rozstępujące przed nim tłumy porządnych ludzi. Jaki rozum taka i uciecha!

Powszechnemi a więc ważnemi figurami karnawałowemi są szopkarze i pączkarze. Pierwsi począwszy od trzech króli obchodzą z gwiazdką i szopką ulice—wołając *szopka betlejska*,*szopka jerozolimska* i t. d. i zachwalając jej przymioty. Dzieci umieją głos ten rozróżnić wśród najgwarliwszego ruchu ulicznego, i nuż w prośby do rodziców aby kazali zawołać szopkarzy. Przychodzą chłopcy zaczerwienieni od mrozu, w leciutkich spencerkach, a częstokroć w przydeptanych pantoflach stawiają swój mały budynek na dwóch stołkach, i jeden świeci a drugi pełni obowiązki suflera prawiąc i za Heroda i za czarownicę i za djabła, — a gdzie potrzeba chóru tam zaraz odzywa się z pomocą gromadka mniej umiejętnych

wagusów, wyśpiewując to przyjemne dla ucha kolendy, to wcale nieprzyjemne historye o Małgorzatce, która tańcowała z huzarami, albo o Lejbusiu który kupił dzieciom tabaki. Z ludem nie łatwa sprawa, ale wartoby zwrócić uwagę na ten szczegół i odzwyczaić młode pokolenie od powtarzania podobnych piosnek, przy których nie raz twarzyczki spektatorek rumienić się muszą.

Roznosiciele *pączków gorących* to oddzielna klassa, — coś w rodzaju piaskarzy. Przytaczam tu zdarzenie które najlepiej z harakteryzuje ich postać. Na Bielańskiej ulicy dwóch młodych paniczów spotkało pączkarza, ogłaszającego na całe gardło swój gorący, doskonały towar i przyszła im myśl pusta zawołać go za sobą. Pączkarz spojrzał na ich bobrowe futra, na błyszczące kapelusze, na żółte rękawiczki, zastanowił się chwilkę, ale poszedł za nimi. Gdy weszli na pierwsze piętro jednej z kamienic na Senatorskiej ulicy, i lokaj otworzył im drzwi do ozdobionego zwierciadłami przedpokoju, znowu chłopiec zatrzymał się, ale jeszcze raz pokonał chęć do odwrotu i poszedł śmiało za swoimi

przewodnikami, rozmawiającymi po francuzku aż do salonu, gdzie przywitał ich ogromny bielutki pudel. Jeden z paniczów wziął od chłopca koszyk, odkrył serwetę i pachnący przysmak postawił pudlowi, który ochoczo zabrał się do uczty. Chłopiec zmarszczył brwi, chciał sięgnąć po koszyk, ale cofnął rękę i dopiero gdy pudel dobrał się do dna, wziął koszyk, nakrył go i rzekł:

— Teraz ja proszę panów za sobą.

— Po co?

— A czy ja pytałem się po co panowie prowadzą mnie na pierwsze piętro, do takich bogatych pokoi.

Młodym ludziom podobała się śmiałość chłopca, a gdy żadną miarą nie dał się odwieźć od swego zamiaru i zapłaty za pączki przyjąć nie chciał, postanowili uczynić zadość jego żądaniu i poszli.

Gdy przyszli do małego parterowego domku na Nowolipkach, chłopiec otworzył im drzwi niewielkiej izdebki w podwórzu i ujrzeli tam na biednie zasłanem łóżku, chorą kobietę—i mło-

dą około trzynasto-letnią dziewczynkę zajętą smażeniem pączków.

— Proszę panów — I rzekł chłopiec, stając śmiało przed przybyłemi,—to nasza matka, kaleka od trzech lat, a my z siostrą utrzymujemy ją i siebie, w zimie smażąc pączki i piekąc precle, a w lecie wypłatując z łoziny koszyki i inne rzeczy. My pracujemy tak ciężko, a panowie na pośmiewisko dali psu to co było przygotowane dla ludzi. Tak się nie godzi i Pan Bóg nie każe robić takiéj krzywdy ludziom co uczciwie na chleb pracują. Panowie się może rozgniewają, ale i mnie ciężko było patrzeć na poniewierkę pracy mojéj biednéj siostry, i ja nad tem omało niezapłakałem.

Można się domyśleć, że młodzi ludzie okupili chwilową lekkomyślność znakomitym datkiem złożonym w ręce choréj kobiety, która przyjęła go z dziękczynieniem, a młoda dziewczynka aż zarumieniła się z radości na widok dwóch sztuk złota, które matka w ręku trzymała. Chłopiec jednak wyprowadzając ich na ulicę rzekł:

— Dziękuje panom za pieniądze, których

bym może i przez miesiąc niewychodził, ale przecież gdyby mnie panowie drugi raz za sobą wołali, to bym nie poszedł, bo to strasznie markotno patrzeć na poniewierkę cudzej pracy.

Zdarzenie to, (za którego autentyczność zaręczam) posłużyć może do przedstawienia nam w lepszém świetle tych biednych chłopców, obiegających nieraz za lichym zarobkiem całą Warszawę; bo o ilem mógł po tem zdarzeniu ściągnąć widomości, z zarobku tego utrzymują się częstokroć całe rodziny zubożałych dzierżawców, officjalistów prywatnych, emerytów i t. p. Ale czas już pożegnać się z karnawałem, bo cóż więcej możnaby o nim powiedzieć, chyba wziąść się do arytemetycznych obliczeń ile zdarto par trzewików, ile zbrudzono rękawiczek, ile zjedzono pączków szczególniej w cukierni Heibergera przy ulicy Rymarskiej, słynących na całą Warszawę, ale takie obliczenia nie mogą być prawdziwe, nie mam zaś na posługi djabła Lessaża, aby mi zdejmował dachy kamienic i pokazywał skutki pustoty zbytków i grzechów. Pożegnam się więc z karnawałem, który pod koniec

stygnie i coraz leniwiej się rusza, a w ostatki błyska tylko gdzieniegdzie jak dopalające się lampki po wspaniałej illuminacyi,—a wezmę się do przedstawienia wam czytelnicy kilku pojedynczych obrazków: w których może znajdziecie wiele prawdy,*ale na miły Bóg proszę nieupatrujcie własnych postaci.*

WIECZOREK TAŃCUJĄCY.

Źle się dzieje—źle się dzieje!
Cóż to złego—czy złodzieje
Czyli ogień, powódź, grady
Albo swary ze sąsiady?
Ej nie bracie—dziś się bawią,
Jedzą, piją, tańczą skaczą,
Fant zastawią—bal wyprawią
A potém na nędzę płaczą.

Pan Atanazy Klepacki, urzędnik jednego z biur rządowych, mieszkał na Nowolipiu, na drugiém piętrze. Zajmował pięć czy sześć pokoi, w liczbie których był salonik o trzech oknach, bo żona i trzy córki, przy najmowaniu mieszkania, pytały się najprzód czy jest salon obszerny. Pan Atanazy miał rangę radcy honorowego, ozdobiony był znakiem dwudziesto-pięcio-letniéj nieskazitelnej służby, i pobierał pensyi rs. 900, z któréj potrąciwszy na emeryturę corocznie rs.

90, pozostawało na utrzymanie domu rs. 810. Fundusz ten powinien był wystarczyć na opłatę komornego, które wynosiło rs. 300, na sprawienie żonie i trzem dorosłym córkom co rok szesnastu kapeluszy, dwudziestu czterech par sukien, czterdziestu ośmiu par trzewików, dwustu par rękawiczek, oraz odpowiedniej liczby kołnierzyków, kaszpeniów, ubiorków, wstążeczek i t. p. gałganków, na opłatę dwóch metrów, jednego do śpiewu, drugiego do muzyki, aby panny biorąc lekcye kształciły się w pięknych talentach; na danie w karnawał czterech a najmniej trzech *wieczorków tańcujących*, na sprawienie imienin koniecznie z tańcami, sobie, żonie i trzem córkom i nawiasem mówiąc, na codzienne życie dziesięciu osób, to jest pana, pani, trzech panienek, starego sędziwym wiekiem obarczonego dziadunia i trzech sług. O przywyknieniach samego pana Atanazego nic już nie wspominamy, chociaż także codzień mgliło go pod piersiami i dopóty mgliło, dopóki nie łyknął kieliszek absyntu i nie przegryzł porcyjki pieczeni albo befsztyku. Gdybyśmy owe 810 rs. podzielili z aryt-

metyczną ścisłością na te wszystkie wydatki, powiedzielibyśmy, że p. Atanazy cudów dokazuje, lub że mu Pan Bóg jak owej ewangelicznej wdowie oleju i mąki w miarę potrzeb przymnaża Tymczasem działo się przeciwnie, a jak się działo obaczymy.

Karnawał dochodził do połowy, Warszawa wykwiecona, wystrojona, ufryzowana, pachnąca, szalała jakby wśród najlepszych czasów, jakby chleba było w bród a pieniędzy jak piasku w Wiśle. Panowie dawali przykład—Kuryer codzień dwie szpalty swego pisma zapełniał doniesieniami, że panna H. miała suknię atłasową z koronkami, a panna X. falbany gwipiurowe — stugębna fama roznosiła po mieście, że jakiś hojny pan i jakaś piękna pani w Kochanowskich domu dają przepyszne wieczory i wieczerze, zastawiają na złotych talerzach. Wszystko to łechtało, niepokoiło panie kupcowe, panie urzędniczki, panie obywatelki; — chciało się im na gwałt, aby i o nich cokolwiek pogadano, aby swoje cyfry ku wielkiemu zadowoleniu mogły znaleść w Kuryerze, aby mogły powiedzieć za-

zdrosnym przyjaciołkom, dajemy malutki wieczorek na sto osób, z kolacyą gotowaną i kapelą.

Musimy wytłómaczyć się czytelnikom, niewtajemniczonym jeszcze w warszawskie życie, dla czego powiedzieliśmy: *z kolacyą gotowaną*. Warszawskie przyjęcia dzielą się na cztery kondygnacye:—pierwsza z herbatą i sucharkami, druga z buterszniłami przy herbacie, trzecia z zastawionemi na stole szynkami, ozorami, marynatami i t. p. czwarta nakoniec, z kolacyą gotowaną. Kto dał wieczór z buterszniłami, z góry patrzy na tego który przyjął gości samą herbatą; a nim znów pomiata ten, który zgromadzonym gościom kolacyę chociażby odgrzewaną zastawił. Serdeczność przyjęcia ocenia się w Warszawie z liczby wypitych szklanek herbaty lub kieliszków wina i ilości funtów zjedzonego mięsa. O innéj serdeczności najczęściéj nie mają wyobrażenia.

Otóż w téj połowie wiru karnawałowego, w tym diabelskim młynku rozumów i serc, pan Atanazy wrócił z biura zadowolony, bo któryś z wiejskich klientów zaprosił go na śniadanko

do Koelichena, i kiedy prawie do łez rozrzewnili się przy trzeciej buteleczce węgrzyna, zapewnił go najsolenniéj, iż taką ma obfitość legumin, iż pan Atanazy zrobi mu prawdziwą dogodność, jeżeli część ich, któraby się pewno zmarnowała, przyjąć raczy.

Wróciwszy do domu, zjadł pan Atanazy smacznie cieniutki rosołek z kluseczkami, sztukę mięsa podzielił się z najmłodszą córką, kartofelków, które passyami lubił, a które stanowiły ostatnie danie tego gospodarskiego obiadku, nie tknął wcale i wykręciwszy się na pięcie, co zwykł czynić gdy był w dobrym humorze, zanucił ulubioną pioseneczkę z Rinaldo-Rinaldiniego:

O jak szczęśliwy ten człowiek
Który ma czyste sumienie.

Za nim przystąpimy do dalszych następstw tego dobrego humoru, zapoznamy jeszcze czytelnika z nader ważnemi osobami tego domu, z matką i z córkami. Pani Kleopatra Klepacka mogła mieć około lat czterdziestu pięciu. Pan Atanazy powtarzał nieraz gościom, że była nie-

gdyś aniołkiem, ale choćby kto nie wierzył w metamorfozy jako urojenia dawnych filozofów, to musiałby koniecznie uwierzyć, słysząc mowę pana Atanazego i patrząc na panią Kleopatrę. Tam nie było ani śladu owego aniołka, którego niegdyś widział zachwycony pan Atanazy, ale w rysach grubych i nieregularnych, w rumieńcach, siedzących plastrami na tłustych policzkach, w tuszy kolistéj i beczułkowatéj, w obejściu się szorstkiem i dziwaczném, spostrzedz można było od razu jedną z figur, od których nawet sprytny Belzebub uciekł dziurką od klucza. Pan Atanazy mężniejszy był od Belzebuba, bo przez dwadzieścia ośm lat siedział cichuteńko pod pantoflem jejmości dobrodziejki, i z téj niewygodnéj kwatery wychodził tylko raz na dzień o godzinie 9éj do biura, wracając punktualnie na swoje miejsce o godzinie 3éj. Czy panu Atanazemu było z tém dobrze, lub źle, nie wiemy, ale musiało mu być dobrze bo nigdy nie narzekał, a choćby o godzinie 3éj postawił mu był kto przed samym nosem stóletniego węgrzyna i ostrygi od Riedla, to byłby uciekł bo-

cznemi drzwiami, spiesząc do domu w objęcia drogiéj połowicy.

Pod bystrem okiem pani Kleopatry, wychowały się trzy jéj jedyne pociechy. Panna Pulcherya, najstarsza jasna blondynka, zaczynała dwudziesty czwarty rok życia. Napróżno biedaczka, począwszy od lat siedemnastu, suszyła nowenny do ś-go Antoniego, napróżno na wszystkich wieczorach i większych zebraniach wychylała z pod gazowych obsłonek bielutkie pulchne łono, napróżno zalotne spojrzenia posełała na rekonesans, w każde większe zebranie młodzieży; okrutne losy stawały zawsze na przeszkodzie jéj chęciom i trzymały ją pod skrzydłami rodzicielskiej opieki, bez względu na wszelkie westchnienia, prośby i zaklęcia, jakiemi w cichości ducha, przy świetle księżyca obarczała głuche ściany panieńskiéj izdebki. Te zawiedzione nadzieje bywały często powodem złego humoru, bólu głowy, drżenia serca, i uporczywe te słabości póty nie ustępowały, póki nieuprojektowano jakiego wieczorku u siebie, nie dopatrzono jakich imienin u kogo ze

znajomych, albo od biedy nie zgodzono się na spacer w zimie na Wiejską Kawę, w lecie do Saskiego ogrodu lub do Łazienek. Wtedy panna Pulcherya, jak ów gracz faraona, który po raz setny zagina parol, w nadziei że choć raz wygra, stawała przed zwierciadłem, odsuwała szlareczkę przysuwającą się zanadto do jéj alabastrowych piersi, zapinała bransoletę na obnażonéj aż za łokieć rączce, układała kapelusz, aby gęste, miękkie, lśniące, w górę podczesane włosy, lepiéj wpadały w oko, i mówiła — do siebie:

— Mój Boże, jacy to teraz ci mężczyźni, kiedy ja im się podobać nie mogę!

Druga z córek państwa Klepackich, panna Salomea, o dwa lata od siostry młodsza, także blondynka, o małej twarzyczce, z noskiem w górę zadartym, chuda i często pokaszlająca, wiedziała, że nie może ubiegać się z siostrami o wdzięki, — i z dowcipem prawdziwie kobiecym ujęła się poręczy, któréj się ujmują prawie wszystkie nieurodziwe jéj siostrzyce: była zawołaną gosposią. Wszystkie kluseczki, pierożki, a w dnie

uroczyste, omleciki, galarety,pączki musiały być jéj rączkami przyrządzone. Ona nie wchodziła do salonu dopóki nie obdzieliła gości herbatą, a kiedy nadeszła pora kolacyi, to z białym jak śnieg fartuszkiem widziałeś ją często przebiegającą mimo otwartych na rozcież drzwi salonowych. Jak wojskowy o bitwach i rynsztunkach wojennych, myśliwy o ponowie i szaraku, bankier o wexlach, a autor o swoich dziełach, lubią najczęściej rozmawiać, tak żebyś był zaczął z panną Salomeą rozmowę o siedmiu strusiach zdobiących tron Szacha Perskiego, to skończyć musiałeś na kluseczkach. Kiedy jeden z danserów zapytał ją czy lubi tańczyć walca po szalonemu (tak jak teraz powszechnie go tańczą).—Lubię—odpowiedziała, bo mi to przypomina jak wałkiem rozcieram w donicy ciasto na pączki.

Trzecia, najmłodsza córeczka, panna Joanna, a jak ją matka nazywała Żanetka — uważaną była przez rodziców, ciocie i stryjaszka za klejnocik, godny co najmniéj ręki którego z panujących książąt europejskich. Szatynka z czarnemi palącemi oczyma, z białą i świeżym rumieńcem

rozkwitającą twarzyczką, z ząbkami któremiby nawet Greczynka mogła się pochwalić, była rzeczywiście przystojną dziewczynką, ale zepsutą od dziecka pochwałami, jakiemi ją zarzucano. Na wszystkich urzędniczków aż do stopnia Radcy Stanu patrzyła z góry — jako niegodnych dotknąć się jéj drobnéj rączki, a na Radców Stanu krzywiła się że starzy. W bujnéj swojéj imaginacyi ciągle jeździła karetami, trzymała cugi, liberyę, otwarte salony, a co tylko nie odpowiadało tym marzeniom, to stało tak nisko, że panna Żaneta wolałaby była żyda zabić, aniżeli obrócić ku temu swoje oczko, lub nakłonić serduszko. Kiedy grała na fortepianie, to wolała zagrać źle wielką jaką sztukę Thalberga lub Liszta, aniżeli dobrze skromne nocturno Szopena albo mazurek Nowakowskiego. Tańcząc, to wolała nie tańczyć, aniżeli podać rękę jakiemu kanceliście. W domu miała pierwszy głos po mamie dobrodziejce—a kochany papko zwykle był jéj najniższym służeczką.

W takim to tedy składzie rzeczy i osób pan Atanazy powtórzywszy jeszcze raz swoją ulubio-

ną śpiewkę, przeszedł do swego pokoju, włożył na siebie szlafrok, który służył mu nieprzerwanie od lat dziesięciu i nosił na sobie widoczne ślady téj wiernéj służby, i usiadł w fotelu, z intencyą aby dla lepszéj strawności trochę się przedrzémać, gdy weszła pani Kleopatra, za nią panna Pulcherya z miną bolejącą, daléj panna Salomea brząkająca kluczykami, a w ostatku panna Żaneta z otwartym romansem Balzaka w ręku. Biedny pan Atanazy aż drgnął na widok téj wizyty, bo domyślał się jéj znaczenia, ale jako mąż w należytym rygorze przez 28 lat wychowany, wyprostował się w fotelu i zapytał:

— Cóż tu was moje rybki sprowadza?

Jejmość zasiadła na drugim, — córki zabrały miejsca przy okrągłym stoliku i pani Kleopatra odrzekła:

— Oto widzisz mój Taziu, (zawsze tak zdrobniale nazywała pana Atanazego, gdy była w dobrym humorze), cała Warszawa bawi się do upadłego. W poniedziałek dawała bal pani Prezesowa, choć nie ma dla kogo, bo córki jeszcze dzieciaki; — onegdaj był suty wieczór u Sędziny, choć

jak wiesz u nich święta golizna;—a wczoraj pani Kacprowa, co to jéj mąż jest pod tobą, dawała wieczór, z kolacyą gotowaną, teatrem i tańcami. *W tę porę* i my nie możemy być gorsi, bo ludzie by nas wyśmieli,—a ta jędza pani Nikodemowa, powiedziała by zaraz *w tę porę*—siedzą—palce iżą i czekają rychło ich gdzie zaproszą.

— Ależ moja lubciu, *tandem* dobrzeby to było i pobawić się;—kochana Polcia posmutniała, a ten klejnocik Żanetka to aż się nad książką męczy.

— Wcale się nie męczę. Papko nie wie, bo papko po francusku nie umie, jak to ten Balzak pisze. To ozłocić go, ucałować, uściskać. Ja wolę jego powieści czytać, aniżeli tańczyć z tutejszemi kancelistami.

— Już co przesadzasz, to przesadzasz—kanceliści choć kanceliści, zawsze żywi—a twoi książęta, hrabiowie papierowi.

— Ale jacy czuli, jak umieją się poznać na tém co piękne—jak kochają szalenie.

— Już ja bym tam wolała buden z szodonem

aniżeli twoich żywych kancelistów, albo twoich papierowych hrabiów—dodała panna Salomea.

— Dalybyście pokój! że też to języki u was jak na szrubach, a ja właśnie w tę porę miałam coś powiedzieć. No i jakież tam znowu *ale,*— dodała obracając się do męża.

Pan Atanazy kręcił się w fotelu jakby siedział na szpilkach, miętosił w ręku szlafmycę, a nie wiedział z kądby tu zacząć.

— Ja bym to chciał,—odpowiedział wreszcie,—wy tandem wiecie jak ja was serdecznie kocham, ale zkąd tu wziąć pieniędzy. Mam tu jeszcze przy sobie ośm rubli, resztę miesięcznej pensyi; forszus wziąłem na imieniny Polci i tandem ani rusz. A wiesz lubciu, że piekarka nie płacona za cały kwartał, a rzeźnik za dwa miesiące. Tandem głowa mi pęka.

— To nic nie pomoże—w tę porę wieczór musimy dać i to suty, z teatrem i kolacyą gotowaną, bo niech Bóg broni aby nas palcem wytykano w tę porę. Pieniędzy dostań gdzie w biurze, przecież tam masz....

Zacięła się szanowna małżonka — i dodała szybko:

— W tę porę pożycz—a potem pomyślimy jak to będzie. Polcia już nie chce chodzić w tej zielonej sukience; powiada, że bardzo znaczna, a Żanetka od roku już nie bierze na siebie tego atłasowego okrywadełka. Puśćmy to wszystko na loteryą — dwieście biletów po dwa złote, i akurat będzie w tę porę na koszta wieczoru. Ty Taziu sprzedasz tam w biurze kolegom i interesantom ze 150 biletów, a resztę my bierzemy na siebie. No—cóż czym nie dobra do rady.

— Dobra — dobra, ale czterysta złotych to za mało. Tandem, muzyka najmniéj sto złotych, a kolacya, a wino, a torty, a usługa, a tapicer, a kucharz.

— Kucharza nie potrzeba — odezwała się panna Salomea — bo ja sama z Marysią zrobię kotlety z groszkiem, polędwice z kartofelkami, indyka z podlewą i dwie galarety, jabłkową i ponczową.

— I bez tapicera się obejdzie,—rzekła z we·

selszą twarzą panna Pulcherya; ja sama firanki pozakładam i krzesła odczyszczę.

— Ot widzisz Taziu – jakież to poczciwe dziewczęta—czy można odmówić im uciechy. Czterysta złotych może i zamało, ale w tę porę ja jeszcze znajdę sposób. Nasze atłasowe salopy leżą w kufrach bezużytecznie i leżeć będą aż do wiosny, bo w tę porę chodzimy w futrach; zawołam cichutko Szmulowéj i poszlę do Lombardu,—dadzą ze dwieście złotych, a tak sześćset już wystarczy.

— Tak—ale tandem na wiosnę?

— Hę—hę gdzie tam jeszcze do wiosny?! Może dostaniesz gratifikacyą, może w tę porę trafi ci się jaki interes—a loterya, co mówisz loterya?! Mnie śnił się onegdaj numer 12,637 posłałem do kantoru głównego, był jeszcze nie wzięty i wzięłam wszystkie piątki.

Pan Atanazy westchnął głęboko.

— No i kiedyż damy ten wieczór?—zapytała stanowczo pani Kleopatra.

— Kiedy chcesz, moja lubciu—kiedy chcesz.

— Ha jużci w tę porę, nie wypada dać go

póżniej jak w przyszłą sobotę, bo niezadługo wielki czwartek, zwykle a bawią się u nas w tę porę, chciałam mówić w ten dzień.

Pan Atanazy jeszcze boleśniej westchnął a jéjmość nic nie uważając na to, ciągnęła daléj:

— Teatr nie wiele zachodu potrzebuje, bo Żanetka umie jeszcze tę komedyę, którą miała grać na moje imieniny.

— Tylko ja nie chcę mieć za kochanka pana Spirydona; — odezwała się Żanetka, nie spuszczając oczu z książki.

— Ależ nie grymaś, moja duszko; — któż na prędce będzie mógł go zastąpić?

— Niech zastąpi kto chce, — a ja z nim grać nie będę. Taki ordynaryjny, ciągle tylko klnie i tłucze stołki, a po teatrze, to mówi mi zawsze pani dobrodzijko, i sto razy na jeden wieczór w rękę całuje.

— Jabym wzięła twoją rolę — odezwała się nieśmiało panna Pulcherya.

— Dziękuję ci za tę łaskę; ja grać będę, ale nie z panem Spirydonem.

— Dajcie no pokój w tę porę. Ułoży się to wszystko dobrze. Osób sprosimy około 80.

— Aj! aj!—zawołał pan Atanazy.

— Cóż tak dziwnego! chciałbyś może aby w tę porę zaprosić ci do preferansa pana Jacka i pana Bonawenturę — i już dosyć. Ha! ha u pana Kacpra który jest pod tobą, było sto osób.

—- Tylko proszęż żeby był pan hrabia Dmowski, ten obywatel z Wołynia z błąd bródką, i ten młody pan Karol, który powiada, że jest Radcą w Senacie.

— A dobrzeby było poprosić pana Bonawenturę, aby przyprowadził ze dwunastu młodzieży do tańca,—dorzuciła panna Pulcherya.

— Ale to trzeba będzie dać ze cztery półmiski kotletów i choć ze trzy polędwice, bo młodzież na głodno nie lubi się bawić,—rzekła panna Salomea.

— Ułoży się to wszystko, ułoży. Już ja sama w tę porę będę u pani Adwokatowéj i poproszę ją aby zaprosiła tego obywatela z błąd bródką. On to dla niéj zrobi, a pan Bonawentura dostanie abszyt raz na zawsze, jeżeli nie sprowadzi nam ze

dwa tuziny porządnych chłopców. Nakarmić ich to twoja rzecz Salusiu w tę porę, aby wiedzieli jaka z ciebie gosposia. No a teraz moje dziewczęta, podziękować ojcu że taki łaskaw i daléj do roboty,—bo te kilka dni zlecą jak strzelił.

— Ale ja muszę mieć na ten wieczór nową różową suknię z czarnemi koronkowemi falbanami, taką jak opisywał Kuryer onegdaj, po balu resursowym; była w niéj hrabianka Eufrozyna — rzekła Żanetka.

— A mnie potrzeba będzie podciąć gors u téj niebieskiéj sukni, bo bardzo zachodzi pod szyję i kupić kaszpeń z niezapominajek u Sobolewskiéj;—dorzuciła panna Pulcherya.

— A ja mamy proszę o czarną sukienkę—bo w czarnéj przy gospodarstwie najlepiéj i o kaszpeń z polnych maków;—odezwała się gosposia.

— Aj! aj! — zawołał rozpaczliwie pan Klepacki.

— Oj świergotki — świergotki,—co tam ojcu klektać w głowę takiemi rzeczami, — odezwała się mama dobrodziejka. — Ułoży się to wszystko w tę porę, ułoży. I nachyliwszy się do ucha Ża-

netki, dodała, — pogadamy o tém wszystkiem ze Szmulową, dam jéj w tę porę jaki podarunek ze starzyzny i wszystko co potrzeba weźmie się na kredyt.

Córki pocałowały papkę i mamę w rączki i posiedzenie się skończyło; ale pan Atanazy jakoś nagle stracił humor i ani razu nie powtórzył już piosnki z Rinaldiniego.

Jak powiedziała pani Klepacka tak czas zszedł jakby strzelił. Sobota upragniona od pani i panien nadeszła. Pan Atanazy, wychodząc do biura, dostał nosa, że jeszcze nie zamówił muzyki i nie zgodził przynajmniéj dwóch lokai. Biedaczysko, położywszy uszy na sobie, zamiast pójść do biura, gdzie nawet pilny interes go powoływał, poczłapał na Stare Miasto, ugodzić jakiego wirtuoza i postarać się o lokai. Szedł, ruszał ramionami i mruczał. — Tandem klnie odpuść, te kobiety to nie muszą być z żebra Adamowego, ale gummy elastycznéj: tylkoby wciąż skakały i kręciły się. Powiedziały, że to wszystko sześćset złotych będzie kosztować, tandem ja tysiąc dwie-

ście wziąłem z kassy a już bokami robią. Oj ta kassa, ta kassa, bru.... A tu jeszcze taka wdzięczność? Ciemięgo! niedołęgo! ruszaj tam a tam, zrób to i to, proś tego i tego, drzyj się po trzecich i czwartych piętrach! Oj tandem głupi to ci młodzi ludzie, którzy...

Chciał dokończyć, ale przypominał sobie że ma trzy córki i że mógłby w złą godzinę wymówić; więc westchnął tylko i ruszył ramionami i szedł dalej.

W domu państwa Klepackich od samego rana był taki ruch, trzask, wrzask, że najcierpliwszy jeszcze nie mógłby wytrzymać. Służące latały jedna za drugą, to za Żelazną bramę, to do Szmulowéj, to do krawca, to do rękawicznika, to do piekarza, to do cukierni, to do fryzyera. Pani Klepacka krzyczała, łajała, biła za każdą minutę spóźnienia się, za nietrafnie wypełniony rozkaz. Panna Pulcherya ciągle przymierzała suknię czy gors dobrze wycięty; panna Salomea biegała z kąta w kąt brząkając kluczykami, doradzając Marysi, kosztując galaret i troszcząc się

o różne rzeczy. Jedna tylko Żanetka siedziała cicho z Balzakiem.

— Gdzieżeś to siedziała ciemięgo! — krzyknęła pani Klepacka widząc wchodzącą kucharkę z próżnym koszykiem.

— Pani jeszcze krzyczy, a ja obeszłam wszystkie jatki od jednego rzeźnika do drugiego i żaden nie chce dać polędwic bez pieniędzy.

— Boś takie cielę, ja w tę porę pójdę i polędwice będą; ale ty niedołęgo, albo umiesz przemówić, wytłomaczyć, powiedzieć przecie, że to dla pani radczyni Klepackiej z Nowolipia.

— Ja gadałam, ale oni słuchać nie chcą, tylko wymyślają aż ciężko przesłuchać, że się im i tak dużo należy.

— Głupiaś — schowaj dla siebie tę wiadomość i ruszaj mi zaraz na powrót; — ja się nie pytam, tylko polędwice muszą mi być w tę porę.

— Ja nie pójdę — ja ich kraść nie będę.

— Co to nie pójdę — ja cię tu w tę porę nauczę jak to pani słuchać.

Dwa głośne policzki, wycięte zręcznie na tłustych policzkach kucharki, przekonały o gi-

nnastycznej w tym względzie biegłości pani Klepackiej. Hałas zrobił się jeszcze większy, kucharka zaczęła na cały głos płakać i wymyślać, i byłoby do większych jeszcze awantur przyszło, gdyby tego dramatycznego ustępu nie przerwało wejście Szmulowej.

Pani Klepacka, panna Pulcherya i panna Salomea obstąpiły ją do koła.

— No i cóż, będzie holenderska bielizna na czterdzieści osób?

— Będą perły z fermuarem?

— Będzie szczupak i cztery sandacze?

— Czemu nie, czemu nie,—odpowiedziała Szmulowa, wydobywając z pod szlafroka pakiet; ja moję panią tak kocham, aj niby moje rodzone Sure. A u Szmulowej wszystko jest, tylko palcem kiwnącz i jest. O niech-no kochana pani patrzy co to za rarytne rzeczów, jakie to lustre, jakie czenkie, to król by mógł takim serwetem gębe uczyrać. A to co to za perłów,— aj waj, kochana panienka wiglądacz będzie jak jakie księżne; a jak to będzie szlicznie przy takich białych piersiów, o niech kochana panien-

ka psimierzy. No, jak ja Szmulowa, to ja jeszcze takiego rarytnego sztuke nie miała w rękę.

— A wiele należyć się będzie w tę porę za pożyczenie bielizny?

— A wiele za pożyczenie pereł?

— Co to cy mi tak pilno, cy to mojéj kochanéj pani i panienki nie znam cy co? Niech to wszistko zostanie, niech kochana panienka zdrowa ubierze się w tego perłe, niech się jakiemu słusznemu kawalerowi spodoba, a ja tu jutro wolnym czasem przyjdę, to wiem ze kochana pani Szmulowéj nie skrzywdzi.

— Dobrze, dobrze, moja poczciwa Szmulowa.

— Prawde kochana pani mówi że poczciwe, i dla tego bidne, a dzieciów jest cała kupa. Ja wiem ze kochana panienka nie chodzi już w tego muszlinowego sukienke w pasy, a u kochanéj pani to ten żółty kapelusz poniewiera się pod ławą. Dla kochanéj pani i dla kochanéj panienke to nic, to głupstwo, a Szmulowa by to wzięła dla swego dzieciów, dla swego Sure.

— Weź! weź! moja dobra Szmulowa, nam to

się już na nic nie przyda, — zawołały matka i córka.

— Aj niech kochana pani i kochana panienka zyją ze sto roków, a niech mają takiego szczęściów jak nasza pani Szymonowa, co już z karetem jeździ. Niech kochana panienka na bez rok się ożeni, niech ma dobrego mężów i dzieciów takich dobrych jak sama. Ale co ja jeszcze będę gadacz do kochanej pani: ta zielone sukienke to już także starzyzna, a i ta tybetowe, ha, ha, i te okrywke atłasowe to ino sprzedacz. Mnie gadała jedna dziewczyna, żeby ja jéj takich rzeczów przyniesła, rychtyk dla niéj.

— Ale widzisz moja Szmulowa ta niebieska sukienka i te okrywko puszczą się w tę porę na loteryą.

— Na Loteryów, a to co inszego, niech Bóg da szczęszcze, ale te tybetowe to ino sprzedacz.

— Zapewne.

— A co mam wząszcz, bo to strasznie przechodzone, a takie wązkie.

— Co weźmiesz to mi oddasz, przecież ty mnie nie oszukasz.

— Co, mam oszukać moją kochaną panią, aj waj; żebym taka zdrowa była jak to prawda.

Gdy Szmulowa powtórzywszy raz jeszcze zapewnienie serdecznego przywiązania, wychodziła z tłomokiem sukien, zatrzymała ją we drzwiach panna Salomea i zapytała:

— A ryby?

— Aj waj, ja na szmierć zapomniała! ale ja zaraz skoczę do Ickowy i ryby duchem będą, tylko panienka da mi dwa garce kartoflów za fatygę.

— Dobrze, dobrze, aby tylko ryby były.

Jeszcze Szmulowa nie zeszła ze schodów, gdy zadzwonił ktoś do przedpokoju, a panna Żaneta zawołała:

— To pewno Julek, niesie programy.

— Julek!

— Julek!

Powtórzyły wszystkie kobiece głosy.

Ten Julek, bliski krewny pani Klepackiéj, był zecerem w jednéj z warszawskich drukarni. Chłopiec cichy, pracowity, poczciwy, własnéj ciężkiéj pracy winien był kawałek chleba, jednak na jaki w pocie czoła zarabiał; mimo to nie

mógł trafić do serc najbliższych krewnych i wtedy dopiero przypominano sobie o nim, kiedy był im na co potrzebny.

— Julku, Juleczku, zawołały na raz matka i córki, nie przywitawszy się nawet z wchodzącym — masz programy.

Blady chłopiec pocałował z uszanowaniem rękę pani Klepackiej, kuzynkom ukłonił się za jednym zamachem i odrzekł:

— Mam sto, nie wiem czy wystarczy.

— Wystarczy, wystarczy, jakiś ty poczciwy, Juleczku.

— Mamo! jakiemi pięknemi wielkiemi literami moje imie napisane; — zawołała Żanetka.

— A jaki piękny papier—dodała gosposia.

— Więc u państwa dziś teatr, koncert i bal, będziecie się dobrze bawić, — rzekł znacząco Julek,—dając do zrozumienia, że i on przyszedłby wytchnąć po pracy gdyby go zaproszono.

— Ej, to tylko tak, teatr i koncercik, widzisz Juleczku w tę porę dla naczelnika tego biura gdzie mąż pracuje.

— A kiedy jest w programie, że będą i tańce.

— Rozumie się w tę porę, po teatrze i koncercie. Ale możebyś zjadł chleba z masłem, Juleczku.

Chłopiec westchnął, zbladł jeszcze bardziej i odrzekł:

— Dziękuję, jestem już po śniadaniu!

Ujął kaszkiecik, ucałował znowu rękę pani Klepackiej, oddał ukłon pannom i wybiegł.

— Mamo, możeby Julkowi powiedzieć, żeby przyszedł dziś wieczorem, — rzekła nieśmiało Salusia.

— Ale nie wypada, chłopiec nie bywał nigdy w takich towarzystwach.

— Zecer—dorzuciła Żanetka.

I wzięto się do oglądania programów.

Przytaczamy tu dosłownie brzmienie programów, będących pomysłem panny Żanety, a przyjętych z takiem zadowoleniem przez resztę kobiecego zgromadzenia.

Program
Wieczoru dać się mającego
w sobotę dnia 3 lutego 185* roku.

Część I.

Komedya w 1 akcie ze śpiewkami pod tytułem:

Dwóch Aniołów Opiekuńczych.

Osoby:

Ojciec Michał..... Pan Bonawentura Wyżlicki.
Joasia, jego córka. Panna Joanna Klepacka.
Robert, czeladnik. Pan Spirydyon Bryzgalski.
Karol syn bogatego
fabrykanta.... Pan August Kwaskiewicz.

Część II.

Wielka arya z Roberta Diabła, wykonana przez pannę Pulcheryę Klepacką.

Część III.

Wielki koncert Thalberga, wykonany na fortepianie przez pana Xenofonta Dunajskiego, świeżo przybyłego z Konserwatoryum Paryskiego.

W przerwach i po koncercie—tańce.

— To mi główka, to rozumek, — zawołała pani Klepacka, ściskając Żanetkę. Programy bywają tylko u wielkich panów—a i u nas będą! Co powie na to ta zazdrośnica, pani Nikodemowa, dostanie żółtaczki ze złości.

Resztę dnia upłynęło na przygotowaniach za-

łatwianych w sposób mniéj więcéj taki jak widzieliśmy. Pan Atanazy oberwał jeszcze kilka razy po uszach. Szmulowa jeszcze kilka razy była wzywana, sługi jeszcze kilka razy doświadczyły ciężkości ręki pani Klepackiéj, i dopiero około godziny siódméj wieczorem uspokoiło się nieco w domu, który za godzinę miał się zamienić w przybytek uprzejmości, grzeczności i słodyczy.

Godzina ósma uderzyła na zegarze stojącym na mahoniowéj konsolce. Sala już była oświeconą—w trzech rogach paliły się lampy słoneczne a na ścianach przybite były kilkoramienne świeczniki. Posadzka lśniała się lustrem—pod ścianami stały kanapy i krzesła, resztę sprzętów wyniesiono do innych pokojów; jeden tylko fortepian pozostał na właściwém miejscu, bo był sprzętem najpotrzebniejszym. Przyległy sypialny pokój zamieniono na salę teatralną — połowa pokoju, przedzielona arkadą, wyobrażała scenę. Kurtynę zrobiono ze starego pawilonu, który dziadunio chował starannie w kuferku na pamią-

tkę po nieboszcze swej żonie, a kulisy z parawanów; warsztat stolarski pożyczono z dołu od stolarza, a szafkę dębową i parę stołków wzięto z kuchni. Dwa stare kinkiety, które niegdyś pełniły służbę w przedpokoju, otrzymały przeznaczenie oświecania sceny i umieszczono je z dwóch boków kurtyny. Druga połowa pokoju, stanowiąca salę teatralną, zastawiona była pięcioma rzędami krzeseł dla dam—miejsce dla mężczyzn zostawiono ich własnemu przemysłowi. Drukowane programy porozkładano tu i owdzie w miejscach najwidoczniejszych. Bądź co bądź, urządzono się jak można było najlepiej; największa jednak bieda była z umieszczeniem suflera; wszystkie projekta rozbiły się o niepokonane przeszkody—tu za blisko widzów, owdzie za daleko od sceny. Zgodzono się nareszcie, aby umieścić go w ogromnej szafie, której dla jej rozmiarów nie podobna było usunąć. Szafę wyprzątnięto i ostatnia trudność została pokonana.

Pani Klepacka, w ciężkiej atłasowej stalowego koloru sukni, wyciętej do gorsu i z krótkiemi rękawami, w stroiku z pąsowych kwiatów, w sza-

lu koronkowym chodziła po sali, przyglądając się to programom leżącym na konsalach, to świecom palącym się w świecznikach, to odświeżonemu okryciu mebli i mówiła:

— A co, niepowiedziałam, że się to wszystko ułoży, że wszystko będzie dobre. W tę porę już wszystko gotowe,—niech tylko goście przychodzą.

Pan Atanazy, w czarnym fraku, w białéj chustce, w białéj kamizelce i w białych rękawiczkach stał pod piecem blisko drzwi, oczekując rychło dzwonek odezwie się w przedpokoju, aby pospieszyć na przyjęcie przybywających. Tabaki nie zażywał, tylko obracał młynka tabakierką i ani razu nie wykręcił się na pięcie, co było oznaką jakiéjś wewnętrznéj troski.

— A Jegomość niech pamięta przyjąć każdego w tę porę serdecznie; tego kto dawno nie był pytać dla czego nie mamy szczęścia częściéj go widywać. Pana hrabiego Alfreda i pana Karola, jeżeli przyjdą, przyjąć po pańsku, elegancko, salonowo;— kłaniać się, suwać nogami, ściskać za

ręce; z młodzieżą umieć się obchodzić, — bo to wszystko w tę porę może się przydać.

Dobrze—dobrze, moja lubciu — ale tandem

— Jakież tandem?

— Czy ja dam sobie radę—tyle osób kazałaś sprosić.

— Nie bój się—już ja ci pomogę.

W czasie téj lekcyi, danéj panu Atanazemu, weszły dwie panny. Panna Pulcherya miała na sobie niebieską tarlatanową suknię, tak wygorsowaną, że kolistość ramion i piersi wychylały się gwałtem z objęć nie odpowiadającego swemu przeznaczeniu stanika. Bielutką szyjkę zdobiło kilka sznurków pereł, z bogatym turkusowym fermoarem, a pulchne różowego koloru rączki osłonięte były tylko trzema różnéj wielkości bransoletami. Strój panny Żanety był skromniéjszy, ale tchnący więcéj elegancyą. Szamoa jedwabną suknię zdobiła czarna, koronkowa berta i trzy czy cztery także koronkowe falbany. Na głowie kaszpeń z amarantowych kwiatów ślicznie odbijał od ciemnych pełnych warkoczy. Bukiet ze świeżych konwalij, tulący się do pier-

si, dopełniał tego kilkoma głosami uprojektowanego stroju.

W pół do dziewiątéj zaczęli się schodzić goście. Najprzód stare matrony i poważni panowie, później różnego wieku, płci i stanu. Pan Atanazy nie mógł nastarczyć powitaniom; — szczęściem, że uprojektował sobie jedną doskonałą formułkę.

— Jakżem szczęśliwy, że pana dobrodzieja (albo panią dobr.) widzę w moim domu. Czemu to nie częściéj, byłoby nam tak przyjemnie.

Gdzie potrzeba było coś dodać albo ująć, przychodziło w pomoc wygodne tandem, — resztę dopełniały ukłony, szuranie nogami, i wszyscy byli zadowoleni.

Dzwonek w przedpokoju odezwał się — ktoś powiedział: — pan Nikodem i pani Nikodemowa.

Panią Klepacką oblały rumieńce radości, za jednym susem była już przy drzwiach.

— Jak się masz, kochana Prokuratorowo!

— Jak się masz, kochana Radczyno!

I dygnąwszy pocałowały się w powietrzu, to jest w odległości trzech stóp od siebie.

— Ale tu u ciebie wielki wieczór, kochana

Radczyno; mówił mi pan Bonawentura, że sprosiliście sto osób.

— Tak, może i więcéj przyjdzie, trzeba używać kiedy można... Ot, może kochana prokuratorowa w tę porę przeczyta drukowany program naszego wieczoru.

— Jak to, i programy!—i do tego jeszcze drukowane.

— A tak —co sobie w tę porę żałować.

— Zapewne—gdyby było....

— Zapewne—gdy jest....

— Jak to, i komedya—i koncert!

— A tak, i komedya i koncert—w tę porę po znaczniejszych domach wszędzie tak się bawią.

— Tak, po znaczniejszych.

Pani Klepacka przygryzła usta—i nachyliwszy się do ucha pani prokuratorowéj, rzekła:

— Czy wiesz kochana prokuratorowo kto u nas w tę porę będzie?

— Któż taki?

— Hrabia Dmowski.

— Ten hołysz co go tutejsi żydzi utrzymują.

— Przepraszam, ma obszerne dobra.

— Na księżycu.

— Nie, na Wołyniu. Niech kochana prokuratorowa tak o nim nie sądzi, bo on nas w tę porę bardzo obchodzi.

— Dla czego?

— Zajął się wdziękami Żanetki.

— On się już tysiąc razy zajmował, a jeszcze dotąd ani razu nie zgorzał. Ostatnią razą kochał się w jakiéjś żydówce, co ma sklepik na Nalewkach.

— Kochana prokuratorowa taka łaskawa, nie szczędzi mu pochwał.

— Mówię zawsze prawdę, nigdy nic w bawełnę nie obwijam. O! o! a to co?—dodała zaglądając do drugiego pokoju,—kochana radczyna pawilon nieboszki swej matki obróciła na kortynę.

— Omyliłaś się w tę porę, kochana prokuratorowo—bo to kurtyna z teatru.

— Nie omyliłam się — ten sam deseń, te frendzle.

— Ale bardzo przepraszam.

— Ale bardzo proszę.

Byłoby pewno, jak powiada poeta, przyszło do żwawszego sporu.

Gdy nowy gość zajechał na dziedziniec dworu. Tym nowym gościem był hrabia Alfred; otworzył drzwi z trzaskiem i zostawił je nie zamknięte.

Pan Atanazy o mało koziołka nie przewrócił, spiesząc na jego przyjęcie.

— Upadam do nóżek—jakżem szczęśliwy—tandem jakiż to honor—i kłaniał się i suwał nogami i powtarzał ciągle: jakem szczęśliwy.

Pani Klepacka porzuciła kochaną prokuratorowę, przybiegła—dygnęła misternie trzy razy, i tyleż razy spojrzała czule na gościa i rzekła:

— Zaszczyt jaki nas w tę porę spotyka; głęboko utkwi w naszych sercach.

Pan Alfred obejrzał się w koło po sali, kiwnął głową panu Atanazemu, podał od niechcenia końce palców pani Klepackiej i ujrzawszy Żanetkę, siedzącą na kanapie z pannami, dał susa i rzucił się na kanapę tak nagle, że o mało nie usiadł na kolanach jakiejś młodziutkiej blondynki. Ubrany był jakby na wizytę ranną

do którego z kolegów. Miał na sobie frak koloru rozmarynu ze świecącemi guzikami, spodnie naśladujące skórę pantery, kamizelkę kaszmirową i wąziutką tasiemkę na szyi, zastępować mającą krawat. Podał rękę Żanetce — wyciągnął nogi, zadarł głowę, ziewnął i powiedział jakiś zwietrzały francuzki komplement.

Pani Klepacka nie posiadała się z radości.

O wpół do dziesiątej zgromadziło się około 80 osób. Teatr—teatr! zawołano w różnych miejscach salonu;—posypały się programy, kobiety zajęły krzesła, mężczyzni tłocząc się po kątach pomieścili się jak mogli za krzesłami. Klaśnięto w dłonie i rozsunięto kurtynę.

Dwóch Aniołów Opiekuńczych—sztuczka jedno-aktowa, bardzo miła, moralna i z talentem napisana. Podnoszą ją na naszéj scenie talenta takich artystów jak Królikowski, Rychter i Ziemińska; mogłaby jednak być przedstawioną znośnie i na teatrze amatorskim, gdyby amatorowie mieli jakie takie o sztuce dramatycznéj wyobrażenie.

Rolę ojca Michała, poczciwego stolarza, da-

wniéj żołnierza i tęgiego rębacza, który pozwala ulicznikom stroić z siebie żarty i daje się powodować córce, ale jeszcze krzyżowéj sztuki nie zapomniał — wziął pan Bonawentura, stary kawaler, — *czubata kureczka*, jak go powszechnie zwano; człowiek co podjąłby się był roli Ottela albo Hamleta, gdyby mu jaka pani Radczyna albo Sędzina kazała być którym z bohaterów Szekspirowskich.

Rolę Roberta, tęgiego rzemieślnika, który kocha czule ojca Michała i czuwa nad jego bytem, ale oburza się na każdą niesprawiedliwość dotykającą biednych, na każdą płochość Joanny, przyjął na siebie pan Spirydon Bryzgalski, kancelista z Ratusza, zawołany szermierz bilardowy i bohater w pufa albo w kręgle.

Rola Joasi, poczciwéj ale zalotnéj dziewczyny najwłaściwiéj może dostała się Żanetce.

Zaraz w drugiéj czy trzeciéj scenie, kiedy ojciec Michał powiada, że jego Anioł Opiekuńczy zapomniał o nim, sufler siedzący w szafle odezwał się:

— Otwórz drzwi bo się uduszę.

Pan Bonawentura bez namysłu powtórzył:

— Otwórz drzwi bo się uduszę; — widząc jednak, że to jakoś nie przypada do roli, poprawił się,—bo ciebie uduszę;—nie, nie—i to nie tak.

Mężczyzni parsknęli śmiechem—pan Bonawentura stracił przytomność, porwał się za głowę i zawołał:

— A cóż u diabła!— ten sufler czy oniemiał?

— Udusił się,—powiedział któryś z widzów.

—Udusił się! - krzyknęły kobiety—wody! doktora!

Rumot zrobił się wielki, pospieszono na ratunek zagrożonemu utratą życia, i upłynęło kilka minut zaczém wszyscy wrócili na swoje miejsca.

Jednakże ten niefortunny wypadek był zapowiedzią przyszłych kazusów. Kiedy Robert rozgniewany na cały świat i na Joasię, stawia ze złością stołek przed kominem, pan Bryzgalski postawił go tak lekko, że aż rozleciał się na drobne kawałki. Kot, który z wysokości pieca był najobojętniejszym widzem amatorskiego teatru, przestraszony łoskotem rozbitego stołka, skoczył ze swojéj loży, i skoczył tak nieszczęśliwie, że trafił

prosto na głowę pana Bonawentury. Pan Bonawentura krzyknął przeraźliwie i nakrywszy połą od kapoty łysiuteńką głowę, rzucił się na ratunek swéj czarno-włoséj peruki, którą kot, zaplątany w gęste pukle, arcydzieło umiejętności Śniechowskiego, unosił pod krzesła. W téj pogoni kapota osłaniająca mu łysinę, obsunęła się na oczy, pan Bonawentura już chwycił łupieżcę za ogon, gdy zaczepił się o atłasową suknię pani Nikodemowéj. Chcąc wyratować się z tego trudnego położenia, ujął za poręcz krzesła. Nieszczęściem siła impetu była tak wielka, że poręcz rozwiodła się, a pan Bonawentura i pani Nikodemowa znaleźli się nagle na ziemi w swoich objęciach. Pomimo tak szkaradnego wypadku, wszyscy nie mogli wstrzymać się od śmiechu, zwłaszcza gdy spostrzeżono, że suknia pani Prokuratorowéj była w wielkim nieładzie i dozwoliła ujrzéć jéj pulchne nóżki w ażurowych pończoszkach.

Tu już nie kilka minut, ale blisko pół godziny czasu potrzeba było do uspokojenia zadąsanéj pani Nikodemowéj, do przekonania zacnego pana Bonawentury, że i bez tego fatalnego wy-

padku wszyscy wiedzieli o jego peruce, wreszcie do przywrócenia porządku.

Pani Klepacka, siadając na swojém miejscu, szepnęła do sąsiadki:

— Dobrze że to się przynajmniej téj jędzy pani Nikodemowéj dostało.

Dalsze sceny szły już jako tako, a choć pan Bonawentura ciągle się mylił, a pan Bryzgalski ciągle rozbijał stołki, sufler nie był już zagrożony uduszeniem się i jak mógł prostował pomyłki, drugiego zaś kota nie było już na piecu, a może i w całym domu. Ale wieczór ten począł się pod jakąś niefortunną konstellacyą. Nadeszła scena w której ojciec Michał uczy Roberta robić bronią. Dwie długie linije zastępowały miejsce pałaszy i z początku nieźle się ta nauka wiodła, ale pan Bryzgalski w scenicznym zapale tak się rozmachał, że zawadził liniją o kinkiet,—szkło rozleciało się na drobne części, a oléj w obfitych strumieniach bryznął pomiędzy krzesła, na suknie spektatorek.

— Aj, moja suknia!

— Moja berta!

— Mój stroik!

Odezwały się liczne głosy i w mgnieniu oka krzesła zostały puste. Dopiero w salonie odkryły się wszystkie okropne skutki tego smutnego wypadku. Popielata suknia pani Prezesowéj wyglądała jak dropiaty strój pana Alfreda; wstążkowe berty panien Sędzianek z różowych zrobiły się buraczkowe,—elegancki stroik pani Adwokatowéj przylgnął do ramion. Twarze, włosy, ręce, pomazane olejem, przypominały coś nakształt zebrań pod trzema murzynami, albo scen Saskiéj kępy.

Pani Klepacka z całą zapalczywością powstała na pana Bryzgalskiego.

— Potrzeba być niezdarą, niezgrabiaszem, człowiekiem bez wychowania, aby w tę porę tyle rejwachu narobić!

— Ale pani dobrodziejko, co tu wychowanie ma za związek z linijami i olejem. Ja chciałbym jak najlepiéj zabawić publiczność, ale diabeł nadał ten kinkiet, — tłómaczył się pan Bryzgalski.

— To tak samo jak tego kota, — dorzucił pan

Bonawentura; — przysięgam, że odtąd żadnego kota przez próg nie przepuszczę.

— No i cóż będzie z naszéj komedyi? — mówił sufler, — małoście mnie nie udusili, i wszystko na licha się nie zdało.

Żanetka siedziała w kącie, blada i smutna.

Pomimo wszelkich przedstawień gospodyni domu i zachęcań ze strony młodzieży, kobiety niechciały już przyjść do sali teatralnéj i widowisko pozostało nieskończone.

Potworzyły się gruppy — tu i owdzie posłyszeć można było szemrania, każdy miał coś i komuś do zarzucenia i zaledwie herbata i torty poprawiły cokolwiek humor niezadowolonych gości.

Następowała druga część programu. Otworzono fortepian, położono nuty, — pan Xenofont, który podjął się akompanijować pannie Pulcheryi, usiadł, wzniósł w górę oczy uzbrojone okularami, jakby w suficie szukał natchnienia do akompanijamentu i zaraz zabrzmiały pierwsze akordy. Panna Pulcherya stanęła przy fortepianie z nutami, odetchnęła silniéj, rzuciła spojrzeniem do koła, chcąc się przekonać kto jest najbliżéj fortepianu;

poprawiła perły na alabastrowej szyjce i głosem od którego wszyscy drażliwych nerwow mogliby spazmów dostać, zaśpiewała oklepaną aryę z Roberta. Kiedy tocząc po sali romansowo omdlałym wzrokiem, wywodziła w najlepsze *łaski! — łaski!* grzmot straszliwy wstrząsł ścianami, wieko od fortepianu opadło, kilka strun się zerwało, świecznik zleciał ze ściany, a pan Xenofont z taboretu.

— Piorun — piorun! — krzyknięto.

— Ależ łaskawi panowie — piorun w zimie — to się sprzeciwia prawom fizyki i meteorologii, — zawołał pan professor.

Wkrótce przekonano się, że pan professor miał racyą i że to nie piorun, ale pan Bonawentura narobił tego nowego zamieszania.

Jak większa część starych kawalerów, był onnadzwyczajnym wielbicielem wszystkich odkrytych wdzięków, a że panna Pulcherya umiała w tym względzie trafić mu do gustu, więc chciał sobie zrobić prawdziwą przyjemność i przysunął się jak tylko można było najbliżej do celu swoich marzeń. Nieszczęście mieć chciało, że kiedy w najlepsze utopił wzrok w rozbujałém jak fale

morskie, śnieżnej białości łonie, zapomniał na śmierć, że łokciem oparł się o podstawkę, podpierającą wieko od fortepianu. W chwili w której z piersi jego bogini wydarło się owe krzycząco-uczuciowe *łaski—łaski* — pan Bonawentura chciał dać przykład do oklasków i tak silnie nacisnął łokciem widać nie pierwszej już młodości podstawkę, że pękła, a spadające wieko oprócz łoskotu, który wszystkich przeraził, i kontuzyi, jakiej uległ biedny artysta świeżo przybyły z konserwatoryum paryskiego, nabiło jeszcze pannu Bonawenturze takiego guza nad okiem, że korzystając z ogólnego zamieszania, wysunął się cichaczem do domu, sprobować doświadczonej w takich razach kuracyi Priesnitza.

Rozumie się, że po takiem galwanicznem wstrząśnieniu, fortepian nie mógł już służyć panu Xenofontowi do popisania się z rozwiniętym tak szybko pod obcém niebem talentem. Kilka strun pękło, reszta się rozstroiła, i pomimo najlepszych chęci p. Xenofont nie uznał za stosowne narażać zdobytą sławę na widoczne niebezpieczeństwo. Na usilne jednakże żądanie

kilku dam, dla rozerwania zasępionego towarzystwa, po wielu wahaniach się i grymasach, zaśpiewał tak nazwaną humorystyczną piosneczkę, w której zdaje się, że po każdej zwrotce przypadał dwu wiersz następujący:

A gdy zobaczę wronę lub gawrona
Tomi się ciągle przypomina *ona*.

Piosenkę przyjęto z oklaskami—i już jakieś basowe głosy odzywały się *fora*, gdy wszedł nieszczęśliwy wirtuoz, najęty na całą noc do rozweselania zebranych gości i nawiązawszy jako tako pęknięte struny, z dwoma swemi pomocnikami, z których jeden wtórował mu na skrzypcach, a drugi na klarynecie, zagrał skoczną polkę.

Polka, walc, a następnie kontredans, zatarły w pamięci bawiących się i przygody pana Bonawentury i potłuszczone olejem stroje, i niedośpiewaną aryę z Roberta i arcy-zabawną piosnkę o wronie, bo taniec ma tę swoją dobrą stronę, że wirem swoim porywa nietylko nogi tancerzy, ale i ich myśli i serca.

Któż z nas nie był świadkiem lub uczestni-

kiem tych tańcujących wieczorów, gdzie młodzież, zapomniawszy o wszystkiem co ich otacza, hula swobodnie i ochoczo, gdzie mamy i ciocie, zasiadłszy kanapki i kozetki, bawią się w ploteczki, w niewinne przygany, i w nadzieje; gdzie panny lub wdówki, przedzielone od danserów chińskim murem powagi wiekowéj lub szpetności, otulają się w okrywki i mantyłki, dając niby poznać że już nie mają pretensyi, aby uczyniono zadość najgorętszym ich życzeniom; gdzie weterani salonowi stają rzędami, bawiąc się w słodkie wspomnienia,—wreszcie gdzie zacni radcy, sędziowie, adwokaci, częstując się tabaczką, umawiają się na preferansa lub opowiadają sobie dykteryjki odgrzane z ś. p. Momusa, lub pochwycone od tych samych, którzy ich *da capo al fine* słuchać muszą. Nie mamy więc zamiaru opisywać po szczególe ile przetańczono polek, ile razy upadł w walcu ten lub ów młodzieniec, ta lub owa panienka, ile razy obnoszono wino i chłodniki, ile gorących spojrzeń rozbiegło się po salonie z oczek panny Pulcheryi, a ile znowu spojrzeń zatrzymało się nie wiemy

na czém, zapewne na fermoarze z turkusów zdobiącym jéj bielutką szyjkę. Opowiemy tu tylko zdarzenie, podsłuchane za krzesłem panny Żanety.

Ta królowa wieczoru, jak ją nazwał hrabia Alfred, prawiący jéj ciągle do ucha podobne komplementa, usiadła przy drzwiach od sąsiedniego pokoju na krześle, za którém stojąc zbieraliśmy wzorki do widoczków warszawskich. Niezadługo zbliżył się do niéj pan Gustaw, jeden ze znanych nam młodych urzędników, chłopiec bardzo porządny, i zapytał:

— Czy mogę prosić do polki?

— Zmęczonam, — odpowiedziała lakonicznie panna Żaneta, patrząc pod piec, gdzie właśnie stał hrabia Alfred.

— Może do kontredansa?

— Zamówionam.

A kłamała — bo dla tego tylko odmówiła panu Gustawowi, iż spodziewała się, że ją pan Alfred weźmie i do polki i do kontredansa.

Pan Gustaw stanął na boku i patrzył.

Hrabia Alfred prowadził tymczasem następu-

jącą rozmowę z jakimś jegomością w złotych okularach, z wielkiemi pierścieniami na wszystkich palcach, z wielką brylantową szpilką w krawacie i z wielkiemi złotemi sprzączkami u trzewików, który jak się później dowiedziałem praktykował na bankiera, to jest dawał pieniądze na lichwę.

— Wyobraź sobie, mój Szymusiu, że tym wieczorem znudzony jestem jak trzy-miesięczną kochanką. Co to za barbaryzm — ha — rezygnacyi potrzeba aby nie pęknąć ze śmiechu. Ten teatr, ten koncert, w istocie sceny godne pędzla Hogarta, aby potem zajęły miejsce na parawanie. Albo ta omdlewająca gąska, co mnie wciąż ściga palącemi oczyma, jedno słówko z mej strony, a moja niewolnica; — ale ktoby tam plątał się w takie stosunki!

— Hrabia masz racyą,—na honor czy to warto. Ja tu nigdy nie byłem — nigdy na honor, bo trudno tak się pospolitować;—ale mam jeden interesik w referacie tego pana — i wypadało zrobić mu ten honor — ach na honor, jakaż to ofiara.

— Ty kochany Szymusiu, masz różne intere-

siki; ale ja mógłbym nie wiedzieć, że są jacy Klepaccy na świecie. — Andzia prosiła mnie dziś na wieczór do siebie, a i ta żółta francuzica kokietowała diable, ale wpadła mi w oko ta gąska — wartoby...... Ej szkoda czasu — ja myślę drapnąć ztąd jeszcze do Andzi — może pojedziesz ze mną kochany Szymusiu?

— Dla czego nie.

— Postawisz nam za to parę koszów szampana.

— Dla czego nie.

— No — nogi za pas i cichaczem — po angielsku, niech znają takich panów jak my.

— Tak, tak — jak my.

Żanetka patrzyła na to wszystko i przeczuła co się stanie z jej nadziejami.

Gustaw zebrał kółko młodzieży — jednemu i drugiemu do ucha coś szepnął i rozeszli się.

Zagrano polkę — wzięto wszystkie panny, nawet trzydziesto-sześcio letnią pannę Apolonię — a panna Żaneta została.

Zaczęto kontredansa — stanęły wszystkie pa-

ry. — Panna Żaneta siedziała szczęśliwie na dawném miejscu.

Zbladła ze złości—i otuliła się mantylką.

— Co ci jest Żanetko?—czemu nie tańczysz? —zapytała któraś z panien.

— Głowa mnie rozbolała, — wyjdę do swego pokoju.

I po chwili zaczęto mówić, że panna Żaneta zasłabła, z czego pani Nikodemowa najniekorzystniejsze wyprowadziła wnioski.

Na domiar nieszczęścia—kolacya, ów wieniec chwały panny Salomei, nie udała się, a galarety nie chciały się zciąć. Oblewała je gorącemi łzami poczciwa gosposia, ale to wszystko nic nie pomagało, i musiano je podać na stół w salaterkach i nalewać na talerze jak zupę.

Po kolacyi w pół godziny nie było już żadnego z gości, tylko zjawił się pan Bonawentura, aby sam na sam odjeść swoje i za kontuzyę i za guza i za wszystkie zasługi, położone w téj pamiętnéj dla niego i dla państwa Klepackich epoce.

Wynoszący się z nadzwyczajnym pośpiechem goście pozamieniali futra, algierki, kalosze — i

Kuryer dopiero musiał pośredniczyć do odzyskania prawéj każdego własności.

Pani Klepacka położyła się spać w najgorszym humorze. Pan Atanazy, chociaż zmęczony nie mógł zasnąć.

Nazajutrz jeszcze pan Atanazy leżał w łóżku, gdy przyszedł woźny z biura i oświadczył, że pan Naczelnik czeka na niego.

Pan Atanazy zmięszał się nadzwyczajnie — zerwał się z łóżka, szlafrok włożył na siebie podszewką do góry i zapytał:

— Cóż tak pilnego zaszło?

— Nie wiem — ale jest i pan Radca i jeszcze jakiś pan w stósowanym kapeluszu.

Wiadomość ta do reszty odebrała przytomność Panu Atanazemu. Chcąc się umyć, o mało nie włożył rąk w salaterkę z mlekiem, przygotowanem dla służących, kołnierzyk wziął na wywrót, a gdy już wychodził zupełnie ubrany, woźny przypomniał mu że wychodzi w pantoflach. W domu wszyscy się potrwożyli, nawet pani Klepackiéj jakieś widma stanęły przed oczyma.

We dwie godziny wrócił pan Atanazy; termometr na ratuszu pokazywał sześć stopni zimna, a on kapelusz niósł w ręku i ciągle coś mówił do siebie. Żona i córki zaledwie go poznały.—Oczy mu w głąb zapadły, policzki pokryły się wypieczonemi rumieńcami.

— Co to jest?!—zawołały wszystkie.

— Ot co jest — tandem nic nie jest — ale będzie! To te wasze wieczorki tańcujące, te kapelusze, te suknie tandem tego narobiły. Trzydzieści sześć tysięcy decessu w depozytowych pieniądzach—dymissya—kryminał.

Boleść przemogła—rzucił się na łóżko i zaczął szlochać jak dziecko.

Jeszcze tego samego dnia pokazała się mocna gorączka,—a na drugi dzień rozwinął się najzjadliwszy tyfus. Ósmego dnia Pan Atanazy już nie żył. Na pogrzeb złożyli się koledzy, — bo jeszcze przed jego zgonem wszystkie sprzęty na rzecz wierzycieli zostały prawnie przyaresztowane.

Pogrzeb i licytacyę zaledwie parę dni przedzieliło.

Po licytacyi ujrzała się pani Klepacka w pustém mieszkaniu i bez żadnego funduszu do życia. Załamała ręce z rozpaczy, złorzecząc jeszcze cieniom męża, który był niewinną ofiarą jéj próżności.

Ktoś zastukał do drzwi—otworzono — był to Julek. Dusił kaszkiecik w ręku i nie wiedział od czego zacząć.

— Cóż mnie powiesz Julku?—zapytała pani Klepacka.

— Ja tu przyszedłem do pani — bo to widzi pani zostałem wczoraj starszym zecerem i pan dał mi dwa pokoiki z kuchnią na mieszkanie. Co tu pani sama jedna w pustych kątach ma robić—możeby się przeniosła do mnie i żylibyśmy razem — prawda biednie,—ale zawsze chleba i kaszy nam nie zbraknie. — Tylko niech pani na mnie się nie gniéwa, bo ja to mówię ze szczerego serca.

Pani Klepacka, Salusia i panna Pulcherya uściskały czule poczciwego chłopca — jedna tylko panna Żaneta nie zbliżyła się do zecera.

Siedziała w kącie na dwóch siennikach, blada jak posąg, ale bez łzy w oczach.

Na drugi dzień pani Klepacka mieszkała już z Julkiem, w jego dwóch pokoikach, skromnych, ale czyściutkich i we wszystko zaopatrzonych. Do końca życia nieopuściła progów, które ją w najokropniejszej chwili tak serdecznie przyjęły; codzień chodziła na mszę świętą do Karmelitów i klęcząc przed cudownym wizerunkiem Zbawiciela, modliła się szczerze o przebaczenie dla siebie i spokój duszy męża.

O los córek nie troszczyła się, bo jedna tylko Salusia godna była jéj przywiązania.

Pannie Pulcheryi sprzykrzyło się w dwóch pokoikach na trzeciém piętrze. Zaczęła często z domu wychodzić,—a potem oświadczyła matce, że zakłada sklepik z cygarami na Marszałkowskiéj ulicy.

Na zapytania osób, które ją dawniéj znały, odpowiadała, że bogaty wujaszek z Wołynia założył jéj ten sklepik, a to pewnie wujaszek szatan, który lubi przystojnym i lubiącym się gorsować dziewczętom, podobne świadczyć przysługi.

Jak jej handel idzie, nie wiemy, —ale widujemy ją często ustrojoną w jedwabie i atłasy, *strasznie* wygorsowaną i uróżowaną; widać więc że ma powodzenie.

Panna Żaneta z wysokości trzeciego piętra nie mogła dojrzeć hrabiów jeżdżących karetami, — przeniosła się więc na deski teatralne—do baletu. U matki nie bywa, siostrom się nie kłania, trzyma na rozkazy kocz od Wagnera i nie tylko hrabiów ale i książęta u siebie przyjmuje. Kto zechce ją widzieć niech się pofatyguje w aleje, — a gdy obaczy żółty elegancki koczyk, a w nim rozpartą wspaniale, w postawie leżącej, brunetkę z wyzywającem a dumnem spojrzeniem, niech będzie pewny, że to ta sama Żanetka, która brzydziła się poczciwym zecerem i z kancelistami tańczyć nie chciała.

Panna Salomea poszła w służbę za gospodynię do jednego ze znakomitych domów. Państwo z niej zadowoleni i ona jest w swoim żywiole — smaży, piecze, przyprawia, gotuje, — i zawsze jéj dobrze, nigdy na nic nie narzeka. Jak upatrzy sobie stosowną chwilkę biegnie do matki,

aby ją pocieszyć, rozerwać swoją wesołością, — obaczyć się z Julkiem, — i w tém rodzinném kółku nabrać sił do dalszéj pracy. — Dodamy tu nawiasem że panna Salomea i Julek nie patrzą obojętnie na siebie, — i że Julek, po każdem widzeniu się ze swoją jak ją nazywa kuzyneczką, pracuje jeszcze ochotniéj, aby co prędzéj zostać dyspozytorem drukarni. Co potém będzie obaczymy, — zdaje się nam jednak, że wkrótce na ślub będziemy zaproszeni.

Taki los zgotowało rodzinie państwa Klepackich niezastosowanie się do dawnego przysłowia: — *według stawu grobla*, — a takich państwa Klepackich jakże wiele w naszéj Warszawie. Ocieramy się o nich codziennie, patrzymy na ich łatane życie, na ich sztukowane zabawy i bolejemy nad zaślepieniem, na które tylu ludzi, zdrowych zkąd innąd na ciele i umyśle, choruje. — Ciężka to słabość — a niestety staje się coraz bardziéj zaraźliwszą. — Jeżeli tedy głos nasz, ze szczerego uczucia pochodzący, trafi do serc napastowanych tą chorobą czytelników — jeżeli choć jednego pana Klepackiego potrafimy wstrzy-

mać nad przepaścią, choć jedną matkę przekonać że szczęście rodziny nie od *wieczorków tańcujących*, modnych kapeluszy i strojnych sukien, ale od dobrego bytu i spokoju, domowego zależy wtedy śmieléj pójdziemy na wszelkie tańcujące i nietańcujące zebrania zbierać *wzorki* do naszej teki.

ZBYTNICY.

— Ciężkie czasy, moja duszko—mówił pulchny i rumiany pan X. do żony—trzeba się nam ograniczyć, odprawić jedną sługę, na obiad ująć jedną potrawę, a i w wieczór z herbatą jakoś oszczędniej się obchodzić.

— Ależ mój kochany, w domu tyle osób trudno będzie jedną sługą obywać się; musiałabym chyba sama....

Nie dokończyła, bo mąż całując ją w czoło, przerwał.

— Moja duszko, rób jak chsesz, już ja wiem, jak obfita jesteś w pomysły, ale trzeba koniecznie zaoszczędzić się, bo inaczéj zginiemy.

I poczciwe kobiecisko ze łzami w oczach przyjęło ten dowód mężowskiej czułości, i dalej suszyć sobie głowę, jakby tu urządzić, aby obywać się jedną sługą, jeść jedną potrawę mniéj, i ze względu na to, że herbata mocna odbiera sen, podawać domownikom i gościom ciepłą wodę cokolwiek zażółconą.

Pan X. wyszedłszy po téj gospodarsko-ekonomicznéj naradzie, przechodził Elektoralną ulicą koło handlu win i korzeni Roezlera, zacnego z doskonałych śniadań, i tak mu zapachniała polędwica z rożna, że spojrzał na zegarek, a ujrzawszy punkt pół do jedenastéj, najlepszą porę do śniadania, wszedł, kazał sobie podać, jak się wyraził porcyjkę polędwicy. Kiedy chłopiec sklepowy położył przed nim bułeczkę świeżutką, okrąglutką, rumianą, pan X. przypomniał sobie, że hygiena żołądkowa radzi dla strawności przed śniadaniem wypić kieliszek wódki, kazał więc podać sobie pomarańczówki,—ale że polędwica urządzoną koleją żelazną z góry nie prędko przyjeżdżała, a dla zaostrzenia apetytu bardzo dobrze zjeść cokolwiek kawioru lub śle-

dzia, więc niezadługo uśmiechało się do pana X. ćwierćfunta wybornego kawioru. Po polędwicy, trzeba było się coś napić, a co pić w naszym wilgotnym klimacie,—wino francuzkie za lekkie, węgierskie rano nie uchodzi, piwo bawarskie pobudza pragnienie, więc bijąc się tak z myślami, kazał podać pół buteleczki angielskiego porteru, byle nie tu ściąganego. Przy porterze ser bardzo smakuje, usłużny sklepowy zaraz go dostarczył i jakby naumyślnie postawił przed oczyma zapaloną świecę, świeca przypomniała cygara,—a że te, które miał przy sobie, nie bardzo przypadały do gustu, więc kazał podać sobie cygareczko. Załatwiwszy się tym sposobem z rzeczami tak wielkiej wagi, obliczał w myśli, ile oszczędzi dziennie przez odprawienie służącej i ujęcie jednej potrawy, gdy przyniesiono mu na tacy rachunek, spojrzał na ostatnią cyfrę rs. 1. kop. 46 i pół, uśmiechnął się do chłopca, powiedział coś dowcipnego, zapłacił i poszedł do biura.

W biurze święcie dosiedział do godziny 3ej, ale wyszedłszy przechodził koło cukierni zwanej dotąd cukiernią Juwena, uczuł jakiś niesmak

w ustach i wstąpił na kieliszek maraskino. Złotóweczka potoczyła się po bufecie, a pan X. punkt o zwykłéj godzinie przyszedł na obiad. Domownicy czekali skwapliwie, i pan X. nie mniéjszą skwapliwość okazał siadając do stołu. Obiadek był bardzo skromny, i pieczeni już nie było. Żonie łzy stanęły w oczach, bo pomyślała sobie: my się obejdziemy, ale on biedaczysko napracuje się cały dzień, i jeszcze poprzestać musi na zupie, sztuka mięsie i jarzynce. Domownicy nie składali widelców i noży, oczekując na pieczeń, ale widząc, że je pan X. złożył, westchnęli, i obiad zakończył się dziękowaniami i całowaniami.

Po obiedzie pan X. wychodził zawsze na przechadzkę. Żona przypominała mu to codziennie, myśląc sobie: niech się choć przejdzie, tyle godzin w dzień na stołku przesiedzi. Wyszedłszy, niewiedzieć jakim sposobem znalazł się na Trębackiéj ulicy wprost kawiarni panny Ludwiki, i usłyszał stuknięcie bil bilardowych, a że passyami lubił bilard, więc wstąpił, kazał podać sobie czarnéj kawy, i z bufetu wziął cygarko,

które nęciło bardzo postacią. Pijąc kawę, paląc cygaro, i rozmawiając z grzeczną gosposią, czekał na bilard, aby zagrać partyjkę. Przyszła na niego koléj, ale szczęście mu nie służyło, partya szła za partyą, a markier pisał na tablicy. Znajomy poczęstował go cygarem, on go zaprosił na ponczyk, dość że wychodząc, ślicznego, nowiuteńkiego rubelka zapłacił pannie Ludwice.

Gdy wrócił o szóstéj do domu, żona sama przygotowywała herbatę, bo młodszéj już nie było; pomagały jéj małe córeczki, i wszystko szło składnie.

Pan X. wypiwszy szklaneczkę herbatki złotego koloru, oświadczył, że idzie na wista do pana Radcy, i poszedł.

Jak mu szedł wist nie powiemy, bo to inna kategorya; w wista grają częstokroć tacy, którzy nie mają najmniéjszéj do gry ochoty. Zresztą, jak wiadomo, w grze, byle niehazardownéj, rezultat pewnego przeciągu czasu kompensuje przegranę wygraną; ale u pana Radzcy przyjęcie było jak zwykłe, herbata i butersznitki. Pan X. wychodząc o wpół do jedenastéj, uczuł wielki apetyt,

a jaskrawa latarnia Heurtego, jak wraz zaświeciła mu w oczy. Wstąpił, kazał podać sobie porcyjkę kotletów z garniturem, a że piwo bawarskie sprowadza sen, więc i buteleczkę piwa bawarskiego, przy piwie parę gomółek, i znów okrągły rubelek potoczył się po srebrnéj tacce wyfrakowanego garsona.

Wróciwszy do domu zastał już żonę śpiącą po całodziennych trudach, i rozbierając się obliczał jeszcze, ile zyska na zaprowadzonéj oszczędności oddalając na sto sążni od siebie myśl szepczącą mu do ucha: porachujno, że dziś na same zbytki wydałeś rsr. 3 kop. 61 i pół. Drugiego, trzeciego i dziesiątego dnia odbyła się ta sama historya, z tą tylko zmianą, że jednego dnia przypomniały mu się wyborne kotlety u Wysockiego, drugiego arcy-doskonała cielęca główka u Wolffna, trzeciego przedni lin à la Nelson u Ridla, a poczciwe żonisko pracowało od białego dnia do dziesiątéj godziny wieczór, ujmowało koniecznym potrzebom swoim i domowników, aby oszczędzić *dziennie trzy złote!*

* * *

— Mój mężu—mówiła poważna ujmujących rysów kobieta—trzeba Anielce sprawić zimowy kapelusz, bo biedaczka jeszcze słomkowym obywa się, a Joasi szubkę, bo nie ma w czém na pensyę chodzić, i dziewcze zawsze z ziębnięte do domu przychodzi. Wartoby także i o sukieneczkach pomyśleć, bo już resztki dodzierają.

— Nie mogę, nie mogę o tem myśleć—mówił pan X., otrzepując pyłki z eleganckiego paltota—teraz takie ciężkie czasy, ledwie na konieczne potrzeby wystarcza. Niech się obywają jak mogą zresztą coś przerobić, coś dodać, jak to się mówi ekonomicznie.

Pani X. westchnęła, bo co mówiła było świętą prawdą i macierzyńskie jej serce bolało za każdym razem, kiedy Anielka brała na głowę słomkowy kapelusz, a Joasia wiatrem podszytą salopkę.

Wieczorem zeszła pani X. męża w jego gabinecie, przymierzającego prześliczny ponsz.

— Co to?—zapytała.

— Ej, nic kazałem zrobić sobie ponsz.

— Do czego też to, moj mężu? masz tyle paltotów, algierek, płaszczów.

— Ale kiedy teraz wszyscy ponsze noszą, gdzie się obrócić wszędzie ponsz.

— Pan Radca ma ponsz, pan naczelnik...

— A to co?—rzekła powtórnie żona, podejmując jakąś rzecz leżąca na stole.

— To frak podług teraźniejszego kroju.

— Dla Boga, mężu! masz dwa fraki.

— Dawne, przed potopowe, a ten leży jak ulał; żebyś widziała mnie w tym fraku, tobyś na nowo zakochała się we mnie. Prześliczny, doskonały. Już to powiadam, że nie ma jak Iniarski, jak robi, to aż miło.

— I wieleż zapłaciłeś?

— Fraszki, bagatele, około czterystu złotych.

Pani X. otarła ukradkiem łzę, aby nie dojrzał jéj czeladnik krawiecki, drapujący w téj właśnie chwili na panu X. fałdy ponsza.

Kapelusz, szubka i sukienki kosztowałyby razem zaledwie połowę téj bagatelki, którą wziął Iniarski.

* * *

U Pana Q. w domu ubożuchno—mebelki pamiętają jeszcze pradziadów. Mieszka zwykle na Starem mieście i to na trzeciem piętrze—broń Boże niżéj. Na ulicy nie dałbyś za niego i trzy grosze tak się nędznie ubiera, koniecznie musi być dziura lub łata w jego mundurze, a algierka kupiona przed dziesięcio laty na Nowiniarskiéj ulicy, służy mu w piątek i w świątek i uchodzi za strój bardzo paradny. W domu codzień daje żonie parę złotych na domowe dzienne wydatki i targuje się z nią o każdy grosz, gdy cokolwiek więcéj zażąda. Służącę zawsze sam oblicza gdy z targu powraca, a w piątki sam zwykle na targ chodzi i godzinę o parę groszy targuje się. Nie dba nic na to, że córki dochodzą lat pełnoletnich, i ani mu wspominaj aby wyprowadzić je w świat, miedzy ludzi; syna chodzącego do szkół umieścił w obcym domu na stół i stancyę za korrepetycyę, a żadna ze sług dłużéj, jak kwartał w jego domu nie wytrzyma, bo najmniéjszą szkodę najskrupulatniéj zapisuje i potem skrupulatniéj jeszcze z zasług potrąca.

Ten sam pan Q. natargowawszy się z żoną o piętnaście groszy, wytrąciwszy słudze dziesięć groszy za stłuczoną szklankę, i włożywszy swoją algierkę, wychodzi na miasto. — Na rogu spotyka się z panem N. serdecznym przyjacielem, całują się w oba policzki, wypytują się wzajemnie o zdrowie żon i dzieci—i idą dalej. O kilkanaście kroków zachodzi im drogę poczciwe kapitanisko—dawny kolega pana Q—człowiek bez kości, jak on powiada, i idą już we trzech. Nieco dalej kapitanisko spostrzega swego znajomego przyjaciela od serca i prezentuje go kompanii, a pan Q. ujrzawszy z daleka pana sędziego, który kiedyś jeszcze ojcu jego ważne wyświadczył przysługi, woła go, goni—i złapawszy za połę, znajdują się w pięciu na raz przed Kamelskim.

Wiecie co? mówi pan Q. — jakie ja tu upatrzyłem wyborne winko, to ręczę że takiego nie piliście—z trzema kropkami — dalibóg, ale to książęce winko, warto mu dać buzi. — Ot wstąpmy cichaczem na buteleczkę. Powiadam że wyborne i nie drogie, bo tylko po 9 złotych buteleczka.

Proszeni mają jakieś wymówki—kapitanisko spieszy się do domu, bo żona mu chora, serdeczny przyjaciel musi iść do biura, bo ma pilny referat do odrobienia, kolega kapitana idzie po doktora do chorego dziecka, a pan sędzia spieszy na sądy—ale, jakoś dziwnym zbiegiem okoliczności wśród tych wzdragań się i wymówek, znajdują się za stołem u Kamelskiego.—Winko wyborne, smakuje, obudza apetyt, jaki taki odzywa się, że wartoby co przegryść, i pięć porcyi befsztyku, jakby z pod ziemi wyrosłe, stoi już przed niemi.—Dawszy taki fundament, potrzeba sprobować, jak też winko z trzema kropkami smakować będzie po jedzeniu, i znów buteleczka idzie za buteleczką.—Zwyczaj odwieczny radzi zapieczętować wszystko starym węgrzynem—jakże tu nie szanować zwyczaju. Opleśnianka uśmiecha się do serdecznych wesołych przyjaciół, piją, cmoktają, smakują, chwalą—a po kilkokrotnych całowaniach się i zapewnieniach dozgonnej życzliwości i przyjaźni, rozchodzą się, pan Q. dobywa zatłuszczonego, a jednak w papier obwiniętego pugilaresu dwa papierki dziesięcio—rublowe,

kładzie je na stole i nie oglądając się za siebie, wychodzi, mrucząc pod nosem.

— Bodaj ich djabli wzięli—wleźli mi w oczy, a sami hołysze żaden swojej butelki nie postawił.—Już tego nigdy nie zrobię,—bodajem....

Nie dokończył, bo wiedział w duchu, że już tysiące razy podobnie zaklinał się, a nie dotrzymał zaklęcia.—Westchnął—i poszedł gderać na żonę za komput, który dodała do pieczeni, i zapisał słudze w książkę trzy grosze za stłuczony garnuszek polewany.

* * *

Byłem niedawno w jednem nie zbyt licznem zgromadzeniu, pan W. zawołany ekonomista rozgadał się szeroko o tegoczesnych zbytkach i całą winę składał na kobiety, utrzymując: że rozrzutnice, że na gałganki, stroiki, cacka, marnują ciężko zapracowany grosz mężowski, że to są wampiry wysysające krew z żył oszczędnych, rachunkowych, poczciwych ludzi.—Pani H. młoda, przystojna, ale znana powszechnie weredycz-

ką, wysłuchawszy cierpliwie całej dość przydługiej jeremiady rzekła:

— Mój oszczędny panie—weź-no kredkę.

— Na co?

— Nie pytaj—tylko weź.

— Kiedy nie mam.

— Bodajby tę od preferansa. Ot jest—rzekła przysuwając zielony stolik i dodała:

Rachuj pan. Wiele jedna kobieta może sprawić niepotrzebnych sukien przez rok — tylko proszę mówić szczerze bez przesady.

— Pięć.

— A kapeluszy?

— Trzy.

— A tych gałganków —koronek, cacek i t.p. zawiele.

— Za tysiąc złotych.

— Bajki—ale niech i tak będzie. Cóż więcej.

— Nic.

— Więc liczmy — pięć sukien każda po rs. 30,—sr. 150,—trzy kapelusze każdy po rsr. 7

kop 50,—rsr. 22 k. 50,—na gałganki,— rsr. 150 Razem — 322 k. 50.

— Czy tak?

— Tak.

— A teraz wiele pana kosztują śniadania w handlach, przekąski w cukierniach, wałęsanie się po bilardach i kawiarniach, kolacya u Heurtego—tylko proszę mówić szczerze pod słowem honoru?

Pan W. zaczął się kręcić i odpowiedział:

— Przyznam się, że nie liczyłem.

— No to ja obliczę.

Sniadanie w handlu rsr. — 1 kop. 50,— Przekąski w cukierniah,—kop. 30, — Bilardy i kawiarnie, — kop. 75, — kolacya,— rsr. 1 kop. 50 razem,—rsr. 4 kop. 5.

Pomnożywszy tę summę przez 365 wypadnie rsr. 1478. kop. 25.—A co? kto więcéj traci na zbytki! kto rujnuje ciężko zapracowane fundusze? — kto wysysa krew z żył poczciwych rodzin.

Powiesz pan może, że nie wszyscy mężczyźni tracą takie kwoty codziennie — nie wszystkie téż kobiety myślą o strojach i gałgankach—a chcąc

dowieść kto górą, dość jest przejść się codziennie po warszawskich handlach, po cukierniach, po bilardach, po kawiarniach, po restauracyach, toż to tam chmury mężczyzn, nieraz przecisnąć się trudno, toż oni tam nie po co innego przyszli jak tylko tracić ciężko zapracowany grosz na zbytki, na kilkochwilowe uciechy, nad któremi ciążą nieraz łzy rodzin, domowników i sług. Strach bierze o tém wspomnieć, że ludzie mający obowiązki, dom, żonę, dzieci—ujmują nieraz najpierwszym ich potrzebom, a pędzą w tumany dymu i wrzawy, i z uśmiechem na ustach rzucają w płomień zbytków i zgorszenia pieniądz, który ich rodzinom mógł zapewnić lepszy byt i spokojność.

Pani H. umilkła—a pan W. zaczął rozwodzić się nad korzyściami, jakie przekopanie międzymorza Suez przyniesie.

dowiesć kto górą, dość jest przejść się codziennie po warszawskich handlach, po cukierniach, po bilardach, po kawiarniach, po restauracyach, toż to tam chmury mężczyzn, nieraz przecisnąć się trudno, toż oni tam nie po co innego przyszli jak tylko tracić ciężko zapracowany grosz na zbytki, na kilkochwilowe uciechy, nad którémi ciążą nieraz łzy rodzin, domowników i sług. Strach bierze o tém wspomnieć, że ludzie mający obowiązki, dom, żonę, dzieci—ujmują nieraz najpierwszym ich potrzebom, a pędzą w tumany dymu i wrzawy, i z uśmiechem na ustach rzucają w płomień zbytków i zgorszenia pieniądz, który ich rodzinom mógł zapewnić lepszy byt i spokojność.

Pani H. umilkła—a pan W. zaczął rozwodzić się nad korzyściami, jakie przekopanie międzymorza Suez przyniesie.

NAJEMNICY SALONOWI.

Pan radca trzymał dom na stopie tak zwanéj u nas pośredniéj. Mieszkał wprawdzie na pierwszem piętrze, ale na ulicach więcéj oddalonych od środka miasta; salon przepełniony był palisandrami, zwierciadłami, kosztownemi drobiazgami, bo maksymą jego życia było ulubione przysłowie: jak cię widzą tak cię piszą, ale za to w innych pokojach często spotkać się można było z sosnowym zydelkiem, albo bejcowanym na czerwono stolikiem. W przedpokoju posadzka była froterowana, i wielkie zwierciadło wisiało na przeciwko drzwi, — ale za to w sy-

pialnym pokoju, z uwagi, że farba szkodzi na piersi, podłogi nigdy nie zaciągano, a panny radczanki obywały się lusterkiem w kokowych ramkach, szacowną pamiątką po prababce.

Chociaż pan Radca miał dwie córeczki już dorosłe, a trzecią, którą mama siłą nieodwołalnego przymusu ubierała jeszcze w majteczki, ale która ten rozkaz co ranek rzewnemi łzami oblewała; jednakowoż nie trzymał domu, jak to mówią otwartego, nie wyznaczał wieczorów tygodniowych, ale raz do roku w karnawał dawał wielki wieczór tańcujący, wieczór co się zowie, z muzyką o kilku instrumentach, z kolacyą i innemi tym podobnemi spezami.

Gdzie częściej zbiera się liczniejsze towarzystwo, tam chcąc dać liczniejszy wieczór nie potrzeba tyle zachodów i przygotowań,—ale u pana Radcy, u którego taki wieczór był erą, od której na cały rok rozpoczynały się rachuby i wspomnienia,—począwszy od szklanek i talerzy, a skończywszy aż na danserach, potrzeba było o wszystkiem myśleć, o wszystko się kłopotać: nocy nie dospać, obiadu spokojnie nie zjeść, na

parę tygodni przed ową stanowczą erą, pozostać mającą (przynajmniéj jak pan Radca sądził) w historyi naszego miasta.

Co było zawsze biedy, narzekań, nieporozumień i kłótni, to dalibóg świętéj cierpliwości i niezachwianego postanowienia potrzeba było, aby się tem wszystkiem nie zrazić i z żelazną wytrwałością brnąć przez wszystkie trudności i przykrości. Pan Radca, który wszystko zasadzał na porządku i systematycznym podziale, zwykle zaraz po uprojektowaniu daty wieczoru dzielił całe zatrudnienia na wydziały. Na swoją odpowiedzialność przyjmował obranie win, urządzenie salonu, usługi i sproszenie gości. Żona miała oddaną kuchnię z wszelkiemi przyległościami i przynależytościami,—a panienki odświeżenie firanek, okurzenie mebli, odwerniksowanie pozłacanych ram, i pamiętanie o danserach. Ten ostatni obowiązek był dla nich najkłopotliwszy, bo towarzyszyły mu różne pretensye papy, mamy, ciotek i wujaszków, — a biedaczki chciały przynajmniéj użyć wieczoru i wytańczyć się do woli. Im nie chodziło o wina, o kolacye, o kre-

my i torty, one starały się tylko o ile można było rozprzestrzenić salonik, dopilnować frotera i zgromadzić jak największą liczbę danserów. A tu jak powiedzieliśmy, w wyborze stawały im na przeszkodzie różne wymagania:—papa pytał się zaraz, jakiéj klassy ten lub ów, mama czy on ma odpowiednią pensyę, — ciocia Klarusia, która passyami lubiła wszystko co modne, czy on będzie ufryzowany; a wujaszek Adam czem się pieczętuje.

Biedaczki byłyby nieraz głowy potraciły z temi pretensyami, gdyby nie dopomagał im młody kuzynek, pan Władysław, urzędnik dziewiątéj klassy w jednem z biur tutejszych, filut, bywalec co się zowie, który jak to mówią nie z jednego pieca chleb jadł i nie o jedne ściany się obcierał.

Dla tego też w miarę zbliżającej się pory karnawałowéj, pan Władysław coraz częściéj odbierał od kuzyneczek zaproszenia w słodziutkich słowach na zielonych, różowych, glansowanych, illuminowanych, ząbkowanych papierkach, i coraz serdeczniejsze spotykały go w progach wszystkich siostr powitania.

Na tydzień przed datą uprojektowanego wieczoru, wielka sesya zebrała się w salonie państwa Radcostwa. Dwie stearynowe świece paliły się na okrągłym mahoniowym stoliku, zarzuconym różnemi szpargałami, a w około stołu siedzieli pan Radca, pani Radczyni, ciocia Klarusia, wujaszek Adam, kuzynek Władysław i dwie starsze panny Radczanki.

Głuche milczenie przerwał pan Radca, mówiąc:

— Ja swoje już zrobiłem: *naturalnie*, państwo widzicie jak ten salon inaczéj teraz wygląda, kazałem naturalnie odczyścić obicia, dać nowe rozety do firanek, prześliczne rozety, patrzcie państwo w kształcie rogu obfitości, ale to naturalnie wiele kosztuje. Przed samym wieczorem postaram się o takie ławeczki, jakie państwo widzieliście w Resursie, bo to mało miejsca zabierają i salon jakoś naturalnie po balowemu wygląda. Obrałem już wyborne winko u Rozmanitha, powiadam państwu że doskonałe, po trzy złote buteleczka, ale to winko naturalne,

czyste, klarowne, a co najwięcej, że nie mocne, głów nie zawraca a pragnienie zaspakaja.

— Ale panie Radco, czy tylko nie będzie za lekkie?—przerwał wujaszek Adam.

— Przeciwnie, obawiam się czy nie będzie jeszcze za tęgie, bo to naturalnie ja się znam doskonale na winach i wiem gdzie jakiego potrzeba. Powiadam ci, panie Adamie że jak zasmakujesz w tem winku, to innego pijać nie będziesz.

A teraz co do usługi: u nas w biurze jest dwóch woźnych, z których jeden służył za lokaja u księdza biskupa Prażmowskiego, a drugi u generała Zajączka; naturalnie, że wybornie znają służbę.

— Ależ to już dziady? — zarzuciła ciocia Klarusia.

— Cóż to ma do tego, tém lepiej moja mościa dobrodziejko, ludzie doświadczeni nie sowizdrzały, szkody nie zrobią. Umówiłem się już z nimi, a że jakoś lepiej wygląda, gdy służba w liberyi, więc na ten wieczór pożyczą sobie nowiuteńką piaskową liberyę.

— Pfe! z cudzemi herbami — zawołał wujaszek machnąwszy ręką z niezadowoleniem.

— Nie tak porywczo, panie Adamie: przecież wiesz, że ja od dawna mam cztery tuziny guzików z moim herbem, tamte się natenczas odprują, a te przyszyją; i to naturalnie nie wielkim kosztem. A co? czy pomysł nie doskonały.

Wszyscy przyklasnęli dowcipowi panu Radcy, jeden tylko kuzynek, pan Władysław, czytał z wielkiem zajęciem leżący na stole w kafowej okładce *Nowy momus* Woj. Szymanowskiego, i musiał trafić na jakiś odgrzewany frazes, bo usta pod kątem prostym ściągnęły mu się do śmiechu.

— Gości będziemy mieli dosyć—mówił dalej pan Radca—będzie pan Sędzia z żoną, siostrą i czterema córkami, pan Naczelnik z całą familią, pan Assesor z całą gromadą siostr, kuzynów i kuzyneczek; pan Bonawentura, ten stary psotnik.

— Ale czy ufryzowany?—zarzuciła ciocia.

— Co też jejmość dobrodziejka plecie, alboż to młokos, kancelista, to przecież człowiek po-

ważny—urzędnik ósméj klassy. Będzie p. Szczypta z córkami.

— Ależ zmiłuj się, panie Radco! pan Szczypta wyraźny chłop z pod Janowa: dorobił się majątku ze spławu zboża, i teraz uchodzi za pana.

— Ej co pan wiesz, panie Adamie: ja przecież na własne oczy czytałem w Niesieckim, że dom Szczyptów zacny, starodawny, słynął jeszcze za Popielów, i że jeden z dwunastu wojewodów, którzy po Krakusie krajem rządzili, nazywał się Szczypta.

— Ależ ja znałem jego ojca: prosty chłop w sukmanie, służył za dyspozytora w dobrach JW. nieboszczyka kasztelana, mego ciotecznorodzonego wuja.

— No i cóż ztąd, familia Szczyptów mogła od tak dawnego czasu podupaść, ale naturalnie to szlachta rodowita.

— Papo kochany — przerwała najstarsza z córek — papa wylicza samych siwych panów, panie i panny, a o danserach nic nie wspomina.

— To nie moja rzecz, to wasza i pana Władysława. A teraz na ciebie kolej, moja duszko.

Pani Radczyni potrząsnęła kluczami w fartuszku i rzekła:

— Ja kazałam już kupić dwie polędwice i cztery ozory, ale to *na rzadkość* piękne, i zamówiłam u Wiśnowskiego, cztery baby, dwa placki migdałowe i różnych ciast do herbaty za dwa ruble; ale powiedziałam, aby to wszystko było na rzadkość, bo to ci panowie spychają obstalunki byle jak. Kucharza już umówiłam, gotował on dawniej w restauracyi pod złotą gruszką, i mówi że umie paszteciki przyrządzać na rzadkość. A bez pasztecików kolacya ani rusz, bo to pani Sędzina ma dobry języczek i umie wyśmiać byle co, a pani Assessorowa jak tylko wejdzie, to już wie wszystko i widzi wszystko, jak by miała sto ócz.

Niechnoby się paszteciki nie udały, albo nie było pięciu półmisków na stole, to już nazajutrz wiedziałaby o tém cała Warszawa. Pan Bonawentura, także łakotniś i słodkie rzeczy lubi na rzadkość, dla niego więc będą dwa omle-

ciki i dwie galarety, które ja sama przyrządzę, bo to na rzadkość umiem.

— Wybornie! doskonale! zawołał pan Radca, a potem obracając się do kuzynka, dodał—panie Władysławie teraz na ciebie kolej, jakąż ty nam młodzież tutaj dostawisz.

Pan Władysław położył Momusa, spojrzał badawczo w oczy całemu zgromadzeniu, i rzekł:

— Rozumie się, że godną tak znakomitego towarzystwa. Przyprowadzę państwu dobrodziejstwu samych klassowych chłopców, i to najwyżej do klassy dziewiątej, a wszystko znakomite persony, biorą najmniej po 500 rsr. pensyi. Cioci dobrodziejce przyprowadzę laleczkę przybyłą prosto z Paryża. Wujaszkowi takiego Rogalę, co to od dziewięciu wieków, pięćdziesięciu sześciu lat, sto czterdziestu dni i jedenastu godzin Rogalą się pieczętuje. A wam moje buziaczki, najmniej ośmnaście par nóg mocnych, zdrowych, nie zmordowanych, na wasze usługi.

— Ale my tak nie chcemy wiedzieć ogółowo, przerwał pan Radca, znamy cię ptaszku i twoje

figle, musisz nam wszystkich koleją po nazwisku wymienić.

— A dalibóg, to nad moje siły! pan Radca przecież wie jaką ja mam krótką pamięć, a spamiętać ośmnaście nazwisk, to nie żarty. Ja bym wolał trzydziestu sześciu sprowadzić, aniżeli ośmnastu nazwiska spamiętać.

— Mów panie Władysławie, bo wiesz naturalnie że u mnie wykręty nie pomogą.

— Mów Władziu — przeklęty trzpiocie, dorzuciła ciocia.

— Mów Władeczku—bo to na rzadkość ciekawe—dodała mama.

— Mów!—mów! odezwały się głosy siostrzyczek.

— Państwo mnie zabijacie — rzekł Władysław: ja mam tyle na głowie, że gdybym jeszcze nazwiska etatowych danserów miał pamiętać, to chyba musiałbym nie jeść, nie spać, nie bawić się, tylko katalogi utrzymywać.

Państwu się zdaje że ja tylko dla państwa sprowadzam tych najemników salonowych — patrzcie, czytajcie:

I wydobywszy z bocznéj kieszeni tużurka prześliczną książeczkę na któréj wielkiemi złotemi literami wyciśnięto Notes — odłożył parę kartek i czytał.

Dnia 17 Stycznia we wtorek—wieczór u państwa Alfonsów danserów 8.

Dnia 18 Stycznia we środę—wieczór u Prezesostwa—danserów najmniéj 12.

Dnia 19 Stycznia we czwartek — wieczór u pani Albiny danserów 10.

Dnia 20.....

— Ależ zmiłuj się—cała karteczka zapisana.

— No! widzicie państwo czy ja mogę spamiętać tyle nazwisk.

— Zkąd że ty ich u licha Władziu bierzesz? przecież dostać pod królem Zygmuntem tylu drwalów—to jeszcze byłaby sztuka.

— Nie jest to nic tak trudnego łaskawi państwo,—takie rzeczy idą bardzo gładko i jeszcze za to naściskają, nacałują człowieka, jak gdyby im nieba przychylał. Ja zwykle tak robię: gdy przychodzi data wieczoru, staję na rogu któréj z pryncypalnych ulic, np. przed Beelim—na ro-

gu Miodowej i Senatorskiej i czekam. Godzina biurowa nadchodzi, ten i ów dąży do biura—łapię jednego, w tykam mu w rękę adres i numer domu,—on mnie ściska, kłania się i przyrzeka, łapię drugiego i daję mu znów karteczkę z adresem i numerem, z trzecim, czwartym i dziesiątym tak samo postępuję, i w pół godziny mam już żądaną liczbę nóg.

— A dalibóg sprytny z ciebie chłopak panie Władysławie — szkoda tylko że nie masz lepszej pamięci.

— Niech papa nie wierzy panu Władysławowi, odezwała się panna Emilja—którą kuzynek raz milusią, drugi raz djabełkiem nazywał, on pamięta—bo szeptał mi niedawno, że będzie jakiś brunecik; — ale taki leniwiec z niego, taki uparciuch.

— Djabełku cicho, bo brunecika nie będzie— przemówił pan Władysław i pogroził wymyślającej na niego dziewczce.

— Choć wymień nam niektórych, odezwał się pan Radca.

— No kiedy już tak chcecie koniecznie, abym

wam wyśpiewał litaniją, to powiem co mi na myśl przyjdzie. Będzie pan Gustaw.

— Któż to taki?

— Rangi niema—ale syn obywatelski, ojciec ma wioskę czy dzierżawę na Podlasiu — on tu przyjechał dla przetarcia się w świecie.

— Podlasiak — pewnie nie nosi lakierowanych bucików i nie fryzuje się—przemówiła ciocia.

I jedno i drugie ciociu dobrodziejko.

— Szlachta na Podlasiu drobna, szlachectwo podejrzane—dorzucił wujaszek.

— A czy ma majątek—zapytała mama.

— Podobno jedynak, odpowiedział Władzio ziewając; i przeciągnąwszy się mówił dalej.— Będzie pan Żygmunt, Sekretarz kolegialny, mający rsr. 600 pensyi—noszący buty od Hiszpańskiego, fryzurę Pochorockiego—pieczętujący się Jastrzębcem.

Wszyscy jednozgodnie odpowiedzieli — dobrze!

— Będzie hrabia Eustachy.

— Hrabia! zawołał pan Radca.

— Hrabia! powtórzyła pani Radczyni.

— Hrabia! krzyknął na cały głos wujaszek, i zerwał się z krzesła.

— Hrabia! rzekła z niedowierzaniem ciocia.

— A tak hrabia, ma on dobra w Kurlandyi, czy też podobno aż na wyspach oceanu atlantyckiego. Przed tygodniem wrócił z Paryża, elegancik jak z pudełeczka—szkiełko w oku—lorynetka na jedwabnym sznureczku, bródka starannie zakonserwowana, włosy jak u krymskiego baranka — a gdy wejdzie we drzwi to jakby kto garniec mille fleurs rozlał po sali.

Wszyscy, jednozgodnie zawołali: dziękujemy.

Pan Władysław potarł czoło i zabierał się do dalszych improwizacyi, gdy najmłodsza córeczka dała znać, że przyszedł pan Kubełko, umówić się o kapelę.

Przybycie to oswobodziło pana Władysława od dalszych kłamstw—bo na raz poruszyły się wszystkie krzesła, i wszyscy pospieszyli obaczyć posłannika Terpsychory—pana Kubełkę.

W kilka dni po tej sessyi familijnej, pan Władysław stał na rogu ulic Senatorskiej i Bielańskiej, i niby zajęty był czytaniem afiszów, kart

pogrzebowych, ogłoszeń o balikach przyjacielskich i t. p. Godzina była dziewiąta, tłumy osób mijały się w różnych kierunkach.

— Jak się masz Kaziu—poczekaj! mówił do blondyna spieszącego ku Bankowi—czy na dzisiejszy wieczór jesteś zajęty?

— Nie.

— A to dobrze —bądź u Radcostwa X., oto adres.

— Zgoda—a będą ładne panny?

— Prześliczne, zgrabne—posażne.

— Zgoda.

— Do widzenia—pamiętaj dziś o dziewiątej.

Zaledwie Kazio odszedł kilka kroków, pan Władysław chwyta za połę tłustego rumianego bruneta.

— Hola, mości Barnabo, a gdzie tak spieszno.

— Do biura.

— Czy tańczysz jeszcze mój amorku?

— Tańczę do upadłego—notabene.

— Jakie notabene?

— Gdzie dają dobrą kolacyą i dobre wino.

— Będzie jedno i drugie—ale przyjdź dziś wieczór o dziewiątej.

— Gdzie?

— Do Radcostwa X. masz adres.

— Zgoda; adieu.

— Do widzenia.

Po kilku takich i tym podobnych rozmowach pan Władysław policzył kreski w notatce—odetchnął wolniej, jakby mu ciężar jaki spadł z piersi, spojrzał na zegarek i wstąpił do Colaniego na czekoladę.

Wieczorem o dziewiątej, dzwonek w przedpokoju państwa Radcostwa zaczął być w ruchu, pan Władysław stał we drzwiach salonu i prezentował swoich najemników, suwając umyślnie nogami i mrucząc nie wyraźnie nazwiska. Po każdej prezentacyi zbliżył się koleją do wszystkich członków sessyi familijnej, i szeptał im w ucho klassy urzędu, tytuły, herby, stosownie do indywidualnych każdego usposobień, i zabawiał najętą młodzież, dopóki Kubełko nie wyręczył go wyborną polką.

Wieczór odbył sie z powszechnem zadowoleniem; najemnicy rozeszli się wszyscy zaraz po kolacyi, a wujaszek Adam umieścił w kurjerku bezimienny artykulik o téj pamiętnej uroczystości.

REWIZYA NOWOŚCI.

. . . . . . Bądźcie cierpliwi, wytrwacie do końca;
Jeśli czujecie niesmak w przykrem słowie,
Znalazł się krytyk—znajdzie i obrońca.
Krasicki.

Pan Sędzia owdowiawszy w pięćdziesiątym trzecim roku życia swego, dla szczęścia jak powiedział małoletnich dzieci, postanowił ożenić się powtórnie, i postanowienie swoje jeszcze przed końcem żałoby do skutku doprowadził, biorąc za żonę dwudziestoletnią, hożą, głośną z wdzięków i elegancyi pannę Eufrozynę, córkę ś. p. prezesa któregoś z trybunałów pierwszej instancyi, i żyjącéj pani Prezesowéj, która pomimo sześciu przeżytych krzyżyków nie mogła jeszcze zapomnieć, że była niegdyś pierwszą figurą

w trybunalskiem mieście, nadającą ruch całemu towarzystwu, i że w czasie perjodycznych peregrynacyi to do wód zagranicznych, to do słynniejszych europejskich stolic, gasiła wdziękami i strojem, najsłynniejsze europejskie piękności.

Ten genealogiczny wywód, chociaż nie wchodzący w treść naszego założenia, był nam jednak potrzebny dla bliższego poznajomienia czytelników z młodą panią Sędziną, która wychowana pod okiem matki, żyjącéj ciągle wspomnieniami przeszłości, wyobraziła sobie, że kobieta, któraby takich wspomnień z czasów swojéj wiosny i lata, w jesień i zimę nie przeniosła, byłaby istotą, godną szczerego i powszechnego politowania.

Na nieszczęście pan Sędzia chociaż biorący znakomitą pensję, nie był jednak prezesem trybunału, i chociaż z zupełnem poddaniem się wszechwładnéj woli swojéj, jak ją nazywał: Fruni, Frunieczki, płacił rozmaite rachunki magazynowe, jednakowoż ciężkie westchnienie, jakie w takich razach, pomimo uśmiechu na twarzy, wydzierało się z piersi ojca licznéj rodziny; a

wreszcie kredka, z którą i młode kobiety czasem się znają, przekonywały panią Sędzinę, że trzebaby jakiegoś szczególnego trafu, prezesostwa trybunału, albo wygranéj na loteryi, aby historja jéj życia ozdobiła się takiemi wspomnieniami, jakiemi historja matki wzbogaconą była.

Przekonanie to silnie oddziałało na charakter młodéj kobiety, i stało się powodem wielu kwasów małżeńskiego pożycia, wielu chwil niezadowolenia, łez, westchnień, obojętności na wszystko, co nie było w prostym związku z jedynym celem: z chęcią błyszczenia w świecie, i zwrócenia uwagi na siebie okazałością, strojami, balami, podróżami i t. p.

Próżno pan Sędzia tupotał na paluszkach w około swojéj Frunieczki, próżno wyciągał ostatnie zapasy, na zaspokojenie ciągłych wydatków, wszystko to była kropla w morzu, w stosunku zachceń i pretensyi, jakiemi siwą, spracowaną jego głowę obarczano. Znosił to jednakże z stoicką cierpliwością, i tylko w miarę powiększających się żądań, westchnienia jego były częstsze i silniéjsze.

Jak gracz nie mający do pustej swej kieski ponterów, dla zabawki gra sam z sobą; jak dymisjonowany generał dla rozrywki kreśli plany bitew, tak i pani Sędzina nie mogąc dosięgnąć celu swych życzeń, lubiła przynajmniej marzyć o strojach, szalach, koronkach, i precjozach; mówić o tém, patrzeć na to, i excrcytować swoje marzenia, już kiedy nie na swojéj, to przynajmniéj na cudzéj rzeczywistości.

Rankiem, prześlicznego styczniowego dnia, pani Sędzina siedziała w swoim gabinecie, w rannym negliżyku; przed nią stały przybory do kawy, i kawa do połowy filiżanek była już nalana, i czerpaczek tkwił w garnuszku ze śmietanką, ale pani Sędzina nie kończyła rozpoczętej czynności, bo utkwiła wzrok w najnowszy numer paryzkiego dziennika mód, a raczéj w rycinkę wyobrażającą prześliczną suknię morową, koloru fijołków, z bertą koronkową, i sześcioma takiemiż wolantami. Rycinka ta, tak ją zajęła, że wzięła do ręki ów numer dziennika, i przypatrując się drobnym akcessoryom tego prześlicznego stroju, zapomniała o swojem zatrudnieniu.

Ocknęła się z zadumania, usłyszawszy słodziutkie: „dzień dobry Frunieczku" i uczuwszy dotknięcie, zimnych ust pana sędziego, na swéj bielutkiéj, okrągłéj szyjce.

Pan sędzia zarzucił żoneczkę tysiącem drobnych zapytań, jak się miewa, co się jéj śniło, czy nie jest utrudzoną po wczorajszym wieczorze u państwa Radzcostwa, ale Frunieczka na połowę pytań nie odpowiedziała, a drugą połowę zbyła jak najkrótszemi odpowiedziami. Schwyciwszy wreszcie jakąś szczęśliwszą myśl, nagle poweselała, do filiżanki pana sędziego dołożyła cukru, i przykryła ją prawie całym kożuszkiem ze śmietanki, i podając ją z przymileniem panu sędziemu, rzekła:

— Jak ty Bonusiu dobrze dziś wyglądasz, aż bierze mnie chętka pocałować cię.

Pan sędzia nadstawił tłuste policzki dokompletowane jeszcze do porządnej objętości połową rogalika w kawie umaczanego, i całus Frunieczki oddał jéj z lichwiarskim procentem.

— Powiedz mi też szczerze Bonusiu—rzekła daléj pani sędzina—jak też ja wczoraj wyglą-

łam w tej popielatej sukni, bez berty, tylko gładko do gorsu, i z wstążkowemi podpięciami? Tylko szczerze, otwarcie.

— Prześlicznie!—odrzekł pan sędzia, połykając trzecią połowę rogalika – prześlicznie, dalibóg, zachwycałaś wszystkich.

— Żartujesz, bo pani inspektorowa, która jak wiesz, ma bardzo dobry gust, i pani mecenasowa, która się tak bogato stroi, mówiły: że mi wcale było nie do twarzy, że strój taki za młody, za mało poważny; a przecież to najlepsza, najstrojniejsza moja suknia — dodała żałośnie:

Pan sędzia drgnął, jakby mu kto zimnego płaza do ręki przyłożył, i raz zarazem poniósł filiżankę do ust, dmuchając w nią jak z miecha, bo kawa była gorąca.

— Czego się tak spieszysz, mój mężu? — zapytała już zimniej pani sędzina—poparzysz się, bo maszynka dopiero zdjęta ze spirytusu.

— Bo widzisz Frunieczku, dziś jest bardzo ważna sprawa na wokandzie.

— Ależ to dopiero dziewiąta, a przy najważ-

niejszych sprawach, wychodzisz zwykle w pół do dziesiątej.

— Mam jeszcze wstąpić do adwokata, któremu powierzyłem sprawę małoletnich, a wiesz jaki to święty obowiązek.

— Ja to wiem, ale i to wiem, że wczoraj było mi zupełnie nie do twarzy, i słyszałam, jak ta obmównica Trzepalska, szydziła z mojego ubrania, i wyciągała z tego takie wnioski: że między nami muszą być jakieś nieporozumienia, bo ty mnie widocznie zaniedbujesz, opuszczasz.

— Bajki, wierutne bajki, przecież ty najlepiej wiesz Fruniećzku, jak ja cię serdecznie kocham. Trzepalska niech sobie trzepie, my ją znamy, i inni ją znają — ot niema o czem mówić.

I domawiając tych słów pan sędzia, łyknął resztę kawy, aż oczy mu poczerwieniały, bo język i podniebienie, poczuły skutki ukropu.

Pani sędzina widząc, że nie wiele już ma czasu do uskutecznienia planów, z rezygnacją adwokata, przegrywającego sprawę, chwyciła się ostatecznego środka, i obejmując bielutkiemi, pulchnemi rączkami, w kaszmirowy szal obwiniętą szyję

pana sędziego, i utoczonym paluszkiem, pokazując na rycinkę leżącego na stole dziennika mód, rzekła:

— Patrz — jakby mi było w takiéj sukni prześlicznie.

— Prześlicznie — powtórzył pan sędzia jowialnie, biorąc kapelusz — w saméj rzeczy prześlicznie. Już to nie ma co powiedzieć, jak w tym Paryżu co zrobią, albo wymalują, to aż miło popatrzeć. Ale dowidzenia moja złota, kochana, Frunieczku, — przyjdę do domu punkt o trzeciéj.

I niby niedomyślny pan małżonek, złożył serdeczne pocałowanie na bielutkiéj rączce zadąsanéj małżonki.

— Skąpiec, głaz, — mruknęła Frunieczka gdy pan sędzia posuwistemi krokami, dążył ku drzwiom, a potém piękną główkę oparła smutnie na dłoni, i dwie łzy żalu, czyli złości potoczyły się po jasném, pogodném niedawno obliczu

Te smutne medytacje, przerwał głos kucharki, dającej znać, że powróciła z miasta, i dopraszającej się, aby pani zrobiła z nią obrachunek.

— Daj mi pokój, widzisz, że nie mam czasu— odrzekła gniewnie pani sędzina.

— Ale pani już od czterech dni niema czasu, a ja zapomnę.

— Mniejsza oto —po południu.

Kucharka ruszyła ramionami i wyszła.

Zaledwie drzwi się za nią zamknęły, z bocznego pokoju weszła nieśmiało panienka trzynastoletnia i pocałowawszy rękę mamy dobrodziejki rzekła:

— Mama kazała sobie przypomnieć, że mamy dziś pójść do panny Gertrudy o salopkę.

— Nie mam dziś czasu.

—. To dobrze—ale...

— Jakież znowu ale.

— Madam rozgniewa się, że tyle dni opuściłam.

— Siedzieć cicho i czekać.

Po takiej odpowiedzi, panienka pocałowała znów rączkę mamy dobrodziejki i wyszła. Jeszcze była na progu, gdy wbiegła z hałasem pokojówka, i rozkładając przed panią trzymane

w ręku brudne i podobne do sieci rybackiej pończochy, rzekła:

— Proszę pani Staś niechce brać tych pończoch, mówi że dziurawe, a innych niema w komodzie.

— Bardzo dobre—odpowiedziała pani sędzina, — powiedz Stasiowi niech nie grymasi, bo śniadania nie dostanie.

Załatwiwszy się w ten sposób z obowiązkami gospodyni domu i przybranéj matki, pani sędzina wzięła znów do ręki leżący na stole dziennik mód i jako antidotum przeciwko złemu chumorowi zaczęła czytać opis sukni koloru fijołków, z sześcioma koronkowemi wolantami.

Było już w pół do jedenastéj, gdy zadzwoniono i w biegła pani Xymena, młoda seperatka, serdeczna przyjaciołka pani sędziny. Pani Xymena mogła mieć około lat dwudziestu sześciu, słynęła na całą Warszawę z wabności,—(co jak kto zechce tak niech sobie wytłómaczy) rozłączyła się z mężem po kilku latach pożycia, bo obchodził się z nią okrutnie po tyrańsku, nie zaspokajając niezmiernych jéj rachunków (na co

mówiąc nawiasem zrujnował cały swój majątek) Znana była z gustu i elegancyi we wszystkich znakomitszych towarzystwach, i garnęła w około siebie tłumy wielbicieli, składające się z młodych i starych, z patrycyuszów i nie herbowych, z bogatych i zrujnowanych, którzy na różne tony wielbili jej przymioty, głosząc przed światem że zerwanie stosunków z mężem, jest po prostu skutkiem niestosownego małżeństwa i nie odpowiedniej karyery.

Po wzajemnych serdecznych uściśnieniach i przywitaniach, młode kobiety rzuciły się z zapałem w rozległe szranki nowinek miejskich; opowiadały sobie wzajemnie najświeższe zdarzenia malutkie, domowe, znanych i nieznanych sobie osób komeraże, ciekawe historyjki o romansach pani A z panem B. pana D. z panią C. i tak dalej, aż do czterdziestu sześciu głosek alfabetu, któremi jeden z łaskawych grammatyków nas teraz obdarował. Z kolei rzeczy przyszły do strojów, i przedmiot ten poszedłszy odbijanego z ust do ust, byłby dostarczył wątku na dwa-

dzieścia cztery godzin, ale pani Xymena opisując ubranie hrabiny Konstantowéj, rzekła.

— Nie uwierzysz Fruziu co też nowości nadeszło do warszawskich sklepów! Przechodziłam właśnie Miodową i Senatorską i u Kwiatkowkiego i u Szlenkera widziałam w oknach mnóstwo prześlicznych rzeczy. Wartoby je obéjrzeć.

— Rzeczywiście, bo ja nawet mam zamiar sprawić sobie dwie suknie balowe i kupić trochę drobiazgów.

— I ja to samo, od dawna uprojektowałam sobie wiele sprawunków.

— A więc chodźmy.

— Chodźmy.

W kwandrans pani sędzina była już ubrana zadzwoniła na lokaja.

— Weź płaszcz na siebie, bo pójdziesz z nami, — rzekła do ośmnastoletniego nie pozornéj miny chłopaka, który trzymając w jednym ręku szczotkę od podłogi, a drugiéj używając w miejsce grzebienia, wbiegł na odgłos dzwonka.

— Ale proszę pani — rzekł z miną bardzo zakłopotaną.

— Jakież ale? — zawołała gniewnie pani sędzina.

— Powiadają, że dziś ośm stopni mrozu na ratuszu.

— Cóż ciebie to obchodzi?

— Ba—jak niema obchodzić, kiedy....

— Cóż kiedy?

— Kiedy dałem buty do podszycia.

— A to weź drugie.

— Ho! ja jak żyje dwóch par butów razem nie miałem.

— A to chodźmy same—rzekła pani Xymena.

— Co ty wierzysz temu mazgajowi — odpowiedziała z uśmiechem pani sędzina i zbliżywszy się ku zakłopotanemu właścicielowi jednéj pary butów—rzekła głośno, powiadam ci weź drugie, a pół głosem dodała—pańskie.

Gdy chłopiec wykonał drugą część rozkazu, panie włożyły z pośpiechem na siebie futra, rączki otuliły w mufki, a główki wychyliły o ile się tylko dało najwięcéj z kapeluszy, umocowanych na głowach grubemi złotemi kotwicami i zbiegły ze schodów.

W uprojektowanéj marszrucie, Szlenker stał na pierwszém miejscu, ku niemu więc obróciły najprzód swoje kroki. Wszedłszy do sklepu zaczęły rozmowę czystą francuzczyzną, umawiając się między sobą o rodzaj, kolor i deseń wybrac się mających sprawunków. Układy te zaintrygowały nadzwyczajnie sklepowych, i prawie wszyscy ilu ich było w sklepie z oczyma utkwionemi w oblicze dwóch przybyłych dam, z rękami gotowemi do ich usług oczekiwali rozkazów.

— Proszę nam podać najświeższe towary, nowości, np. parę sztuk moire antique, gros favori, adamaszków w pasy w kraty duże i drobne, podług ostatnich żurnali, a z lekkich parę sztuk tarlatanów, krepy, illuzyi, donny-maryi, co panowie macie najnowszego—rzekła pani Xymena zawsze po francuzku.

Ośm par rąk dostarczyło w mgnieniu oka żądane towary. Pretendentki do kupna każdą sztukę rozwinęły, każdą szczegółowo obejrzały i każdéj coś zarzuciły. Podano inne, i inne ten sam los spotkał, przejrzały same szafy i półki,

wskazywały koleją różne przedmioty, podawano je skwapliwie i w pół godziny nie spełna, czterdzieści sześć sztuk rozrzuconych towarów leżało przed naszemi damami.

Szlenker nie miał szczęścia, wszystkie nowości nie przypadły do gustu naszym damom i dwa słodkie adieu zakończyły ten pierwszy akt rewizyi nowości.

Te same sceny powtórzyły się u Kwiatkowskiego, u Sztumera, u Zweigbauma ze zmianą tylko miejsc i okoliczności. Pretendentkom naszym znoszono stosy nowości, one je rozwijały, oglądały, przymierzały, oceniały, i nie było tak szczęśliwego towaru, któremu niemiały coś do przyganienia. Gdy wychodziły od Zweigbauma na ratuszu uderzyła godzina druga.

Na desser wstąpiły jeszcze do Sobolewskiego, przejrzały wszystkie kaszpenie, wszystkie girlandy, wszystkie bukiety, i chociaż serduszka rwały się do nich, wszystkie im były nie do twarzy, jedne za strojne, drugie za skromne, jedne krzyczące, drugie zbyt nikłe i t. d.

Idąc już do domu spotkały się oko w oko

z szyldem Józefowiczowéj, więc jakże nie wejść na górę i nie przypatrzyć się ślicznym kapeluszom, stroikom, okrywadełkom. Pani sędzina spieszyła się, aby przed trzecią być w domu, i dla tego tylko przymierzały sześć kapeluszy, cztery stroiki i ośm najnowszych okryć, nie mogąc jednak dobrać żadnego do gustu i figury.

Gdy schodziły ze schodów, w bramie stała nędzna łachmanami okryta kobiéta, trzymając jedno dziecko małe na ręku, a prowadząc drugie cokolwiek starsze schorzałe i zapłakane.

Elegantki nasze zazwyczaj mają bardzo dobre serca, zatrzymały się więc, aby kilko-godzinne zatrudnienia zakończyć dobrym uczynkiem.

Pani Xymena sięgnęła pierwsza do jednéj i do drugiéj kieszeni wykwintnego szlafroczka i rzekła:

— Wyobraź sobie Fruziu, nie wzięłam portmonetki.

Pani sędzina obszukała w około siebie rzekła:

— I ja tak samo zapomniałam wziąść mojéj.

— A gdyby téż byłyśmy co ztargowały?

— Gdybym też była kupiła ten prześliczny adamaszek w kraty u Szlenkera?

— Albo ten różowy tarlatan u Kwiatkowskiego?

— Albo Gros favori u Zweigbauma?

— Albo tę dziką krepę u Sztumera?

— Albo kaszpeń, z pełnych maków u Sobolewskiego?

— Albo ten cudowny ubiorek z pereł u Józefowiczowéj?

Zegar ratuszowy oszczędził naszym elegantkom dalszych mistyfikacyi, przypominając pani sędzinie jéj obowiązki domowe. Serdeczne przyjaciołki przy pożegnaniu uścisnęły się czule, a skutkami tej rewizyi nowości będą zapewne częstsze westchnienia pana sędziego, i małe miejskie ploteczki.

KAWA U PICHLA.

Czy też który z was szanowni czytelnicy przechodząc ulicą Żabią ku Granicznej, lub z placu zwanego za Żelazną bramą do ogrodu Saskiego, zwrócił uwagę na małą, jednopiętrową, narożną kamieniczkę, a mianowicie na szyld jasno-niebieski skromnie przytulony do muru, na którym bez żadnych tak teraz zagęszczonych ozdób szyldowych, napisano: *Kawa i herbata T. Pichla za konsensem Nr.*

Z drugiej strony, od placu jest drugi taki szyld tylko dla odróżnienia półokrągły i na nim widocznie już z postępem czasu i cywilizacyi ka-

wiarnianej, znalazła miejsce *herbata*, bo, do dawnego wyrazu *kawiarnia* dodano, bez żadnego gramatycznego i estetycznego względu i *herbatę*.

Jak szyld niepozorny, tak i wejście niepozorne; nie odznacza go kolorowa latarnia, z jaskrawym o kilkanaście sążni widnym napisem, w sieni niema drogoskazów napisów, przestróg — wszystko skromnie, po prostu, po dawnemu, jak to jeszcze niegdyś bywało, kiedy każdy szukał w kawiarni filiżanki smacznej kawy i nic więcéj.

To *więcéj* tak się teraz zagęściło, że niezadługo uczciwy człowiek wstydzić się będzie wejść we drzwi domu, ubrane szyldem kawiarnianym, i dla tego też postanowiliśmy zapoznać was szanowni czytelnicy, z p. Pichel, a raczéj z jego kawiarnią, która przeważnie oparła się nowatorstwu i stoi dziś jak słup graniczny, między świecącym blichtrem a dawnemi staremi tradycyami.

A nie dacie wiary, moi czytelnicy, jak dalece te tradycye szanowane są przez pana Pichla. Kto wie czy nie prędzej zjawi się w Pekinie ba-

let i romanse Kocka, aniżeli w jego kawiarni wszelkie, tak zwane, ulepszenia.

Z sieni, w której jak powiedzieliśmy nic nie objaśnia wchodzącego o bytności w tem miejscu kawiarni, wchodzi się na prawo przez podwójne drzwi, do izdebki mającej około 16 łokci kwadratowych. Sciany téj izdebki odmalowane na niebiesko w jakieś niby kwiaty, nie zdradzają bynajmniej postępu sztuki malarskiej, i nie pstrzą się ani niewinnemi *landszaftami*, na które patrząc, djabeł zachęca do winy, ani sążnistemi zwierciadłami, ani festonami półczerwonych, pół-białych, lub żółtych firanek. Jeden jakiś stary landszafcik, jeden obrazek świętéj, jedno pół-łokciowe lusterko, ot i całe ubranie ścian, odpowiadające zupełnie bogactwu sprzętów. Nam co oczy nasze przywykły widzieć palisandry i mahonie, gdzie dawniej dębina przeważną grała rolę, nie szczególniej się wydadzą dwa niby szlabany, bejcowane na żółto, z materacami skórzanemi, trzy czerwono bejcowane, ceratą pokryte stoliki i trzy lub 4 krzesełka, z których dwa zwyczajne, czciną wyplatane, a dwa stare poręcz-

czowe niskie, niby dla liliputów robione; paskowatym drelichem pokryte. Ale nie sądźcie aby to już było całe umeblowanie tego pierwszego pokoju, są jeszcze dwa sprzęty ku ozdobie i wygodzie: wagowy zegar z łokciowym *perpendykułem* i ołowianemi kulami, skrytemi w półszafce niebiesko-pomalowanéj, i na środku zawieszona u sufitu lampka o jednym płomieniu. Zegar gdy bije godziny, to można je obliczać w bramie Saskiego ogrodu, ale idzie regularnie, tak dalece, że punktualni goście nie chcą wierzyć zegarowi ratuszowemu, i tylko do niego regulują własne zegarki, a lampka, jak powiada pan Pichel, skoro oświeca izbę to już odpowiada należycie swojemu przeznaczeniu.

Druga izdebka o połowę mniejsza od pierwszéj, odróżnia się tém, że ma ściany na zielono pomalowane, i że w kącie stoi stary poważny dziaduś, szafkowy zegar, świadek może jeszcze dziewiczych tej kawiarni czasów, strażnik jéj zasad i cnoty. Zresztą wszystko tak jak i w pierwszéj izbie, takież same szlabany, takież stoliki, takież krzesełka, nawet lampka wisząca u sufitu,

rodzona siostra tej, którą w pierwszéj izbie widzieliśmy.

Ale zamiłowanie tradycyjnych zwyczajów nie kończy się na urządzeniu i umeblowaniu kawiarni, — zażądaj czytelniku kawy, a poda ci ją pełnoletnia, chociaż zdrobniale Andzią zwana panienka, nie w szklance, nie w filiżance przyrządzoną za bufetem, ale w małym na krople wymierzonym imbryczku, z osobnym takiejże miary garnuszkiem śmietanki, okrytym dobrze podszytym kożuszkiem, z kilkoma kawałkami cukru na metalowym spodeczku. Usłużysz sobie sam i napasiesz wzrok klarownością kawy, gęstością śmietanki i białością cukru. Młodzi warszawiacy omijają kawiarnię pana Pichla bo oni nie znają się na tych wszystkich delicyach. Oni wolą mętną kawę ze śmietanką mąką zaprawną, byle ją podały inne rączki, jakiej bufetowéj piękności, byle okrasiło ją zalotne spojrzenie, pokazanie dwóch rzędów białych ząbków i t. d. — ale starzy weterani, emeryci różnych stopni i odcieni przepadają za panem Pichlem, i za konieczną powinność, zajmującą miejsce w codziennym bu-

dzecie, zaraz po obiedzie i spacerze poobiednim, uważają posilenie się wybornym nektarem, ręką Andzi podanym.

Może też dlą tego kawiarnię pana Pichla zowią jeszcze kawiarnią *pryków*, ale my możemy zapewnić, że miano to nie wyszło nigdy z ust poważnego człowieka, który wie jak wiele dobrego przynosi światu klarowna kawa z wyborną śmietanką, ale tylko z ust tych wiercipiętów, którzy albo gustują w innych rzeczach, albo chcą świat do góry nogami przewrócić.

Obok tego wszystkiego kawiarnia p. Pichla jest szlachcianką dobrze urodzoną i dobrze osiadłą, bo wiarogodnemi autentykami udowodnić może genealogię swego pochodzenia, sięgającą jeszcze tych błogich czasów, kiedy była pierwszą i jedyną w całej Warszawie. A co dziwniejsza, że urodziła się w tém samém miejscu w którem exystuje, i z tego miejsca przez długie lata swego istnienia patrzyła na rozradzające się swoje pokolenie, które z początku kupiąc się koło niej, następnie zhardziało i rozbiegło się po

wszystkich ulicacah placach i zakątkach, całej Warszawy.

Starożytne to pochodzenie wprawia w pewien rodzaj dumy nietylko p. Pichla, ale i niektórych zaciągniętych w bractwo codzienne jego gości. Pamiętam, że gdy raz zapytałem się pewnego osiwiałego kawalera, a zapalonego zwolennika herbarzy, gdzie piję kawę, odpowiedział mi:

— A gdzieżby indziej jeżeli nie w najstarszéj w całéj Warszawie kawiarni. Tam człowiek czuje się jakoś w swoim żywiole, bo może być pewnym, że lada szurgot koło niego nie usiądzie.

Wówczas byłem jeszcze nowicyuszem warszawskim, prosiłem więc owego starego kawalera o wskazanie mi tego uzacnionego miejsca.

Ale niestety, za drugą czy trzecią bytnością, przekonałem się, że mój stary kawaler (jak zwykle starzy kawalerowie) ma wzrok bardzo osłabiony, bo chociaż wprawdzie każdy z gości miał cały tużurek i kapelusze ich błyszczały lustrem, ależ i tam było jak na świecie, *nie zawsze znakomito choć poszyto.*

Od tego jednak czasu zacząłem bywać w ka-

wiarni p. Pichla, nie dla tego, abym miał być wielkim zwolennikiem tradycyjnych zwyczajów, ale że od dzieciństwa mam chętkę do zbierania wzorków i przypatrywania się ludziom; ale nie tym których widujemy codziennie w paltotach, płaszczach lub algierkach, — ale tym drugim, którzy jak w futerałach, kryją się pod warstwami ciała i sukna, których odgadywać trzeba ze słów, z nawyknień, z drobnych czynów za nic pospolicie uważanych.

Ta chętka prowadzi mię w podwoje salonów, na bale i liczne zgromadzenia, na koncerta i wieczory literackie, zasadza do zielonych stolików, każe się przysuwać do gładkich twarzyczek, prawić im komplementa, zazierać w serca, probować tonów duszy. Może nie jeden widząc mię w tych zebraniach pomyśli sobie: „a on tu po co, tańczyć nie może, pić nie umie, muzyki się nie uczył, gra w karty jak ostatni fuszer”,—i ruszy litośnie ramionami, choć mnieby należało podobnie postąpić,—bo on przyszedł tylko z nogami, z gardłem i rękami, a ja z chętką kształcenia się!

Otóż bawiły i bawią mnie ciągle, punktual-

ność starych ludzi, ich na sekundy wymierzone rozrywki, ich żarty i gawędki; podoba mi się rodzinna zażyłość między wszystkiemi, troskliwość o kolegę który uchybi terminu i nie stawi się na oznaczoną godzinę. (Nawet czytanie gazet u p. Pichla ma swój odrębny charakter; tam żaden z czytających nie przeleci czwałem gazety, niby myśliwiec pędzący z chartami przez pola, ale odczyta ją uważnie, powoli, peryód po peryodzie, począwszy od pierwszych liter składających tytuł: *Schlesische* albo *Neue Preussische Zeitung* aż do ostatniego numeru ogłoszeń o zaginionych psach albo o cudowych skutkach *Rewalenty*. Jaka tam systematyczność i wysoko posunięta grzeczność przy zamawianiu gazet? okrzyczanoby za gbura każdego, któryby bąknął pod nosem *zamawiam*. Tam każdy mówi: *będę miał zaszczyt zamówić u pana gazetę,*) a choćby kto spadł z obłoków albo był pierwszym mandarynem chińskim, to mu nikt pierwszeństwa nie ustąpi. A jeden dzień tak bliźnięco podobny do drugiego, że trzeba by się przez mikroskop im przyglądać, aby dostrzedz jaką różnicę. Jak

tylko zegar w pierwszéj izbie stojący wibije godzinę czwartą, pan Pischel przychodzi do okna i zażywając tabaczkę wygląda swoich gości. Niezadługo dzwonek u drzwi zaczyna być w ruchu. Wchodzą dobrzy znajomi, witają się z gospodarzem, gospodarz z nimi, oni znów między sobą, potem każdy wita się z Andzią, zamawia porcyę kawy, i przechodzi do drugiego pokoju, dla ostentacyi nazwanego salonem.

Pan Mecenas wiesza paleto na kołku, kapelusz obciera chustką i wiesza go przy nim, laskę ze złoconą gałką stawia w kąciku, spróbowawszy wprzód czy nie upadnie i szuka oczyma pana Marcina, który odbywa te same czynności w drugim rogu salonu. Zaledwie ukończyli te ważne zatrudnienia, Andzia wnosi szachy i szachownicę bez wieka, razem z dwoma porcyami kawy.

Pan Mecenas i pan Marcin siadają naprzeciw siebie i aby nie tracić drogiego czasu, jeden nalewa dla obydwóch kawę, a drugi za obydwóch ustawia szachy.

Następuje chwila uroczysta rozpoczęcia walki;

przeciwnicy dobywają dwie wielkie fularowe chustki, używając ich stosownie do ich przeznaczenia aby funkcye żywotne nie były im w ciągu gry przeszkodą; potém kosztują kawy czy należycie przyrządzona, potém zamawiają sobie u widzów milczenie i partya się rozpoczyna.

Na nieszczęście tyle tylko rozumiem grę w szachy, że wiem co król, co królowa, co wieża, konik albo pionek, a zresztą zdaje mi się, że prędzéjbym się nauczył robić pończochę (co także za rzecz nader trudną uważam), przylepiać figurki chińskie na szkle, aniżeli grać w szachy. Nie mogę więc dać wam dokładnego obrazu zapasów pana Mecenasa z panem Marcinem, bobym gotów tak się znaleść jak jeden z dawnych moich sąsiadów, który chcąc zabawić gości, opowiadał im przyjemność podróży balonem, a zakończył frazesem, że wybiera się do Warszawy, aby pierwszy raz w życiu zobaczyć balon Tardiniego.

Zresztą w takim gwarze, niepodobna mieć uwagi na jeden przedmiot zwróconej, i trzeba być zaciętym szachistą, aby nie oderwać oczu od szachownicy, dać wystygnąć kawie, pozwolić, aby

zgasło cygaro, aby tylko króla i królowe od napaści przeciwnika i strasznego wyrazu *mat* zabezpieczyć.

Gdy pan Mecenas z panem Marcinem tną partyę po partyi, na boku oprócz uprzywilejowanéj galeryi gapiących się, tworzą się osobne kółka. Na drugim stoliku pod oknem, inni dwaj zapaśnicy szachowi wodzą się za czuby, a w środku i w drugiéj izbie mieszczą się politycy, czytający gazety i rozprawiający o ważniejszych szczegółach z gazet zaczerpniętych.

— Powiadam panu, mówił jakiś jegomość okrąglutki i pulchny, że jak tylko przekopią między morze Suez, to będziemy mieli w bród wszystkiego.

— Ale czego? zapytał sąsiad.

— Wszystkiego, co tylko pan sobie wyobrazić możesz, czego dziadowie i pradziadowie nasi nie widzieli.

— Ale ja nie rozumiem takiego gadania,—odrzekł niechętnie ów niedowierzający jegomość.

— Cóż ja temu winien—rzekł pierwszy.

— A winieneś pan, bo kto tak wysławia ja-

kieś tam projekta, to powinien powiedzieć, dowodnie co nam z tych projektów kapnie.

— Nie kapnie, ale naleje się panie dobrodzieju przewybornych ryb indyjskich, szynek westfalskich, ostryg, śledzi, raków morskich!

— Hola! hola! łaskawy panie, takie rzeczy aż z Indyi.

— Z Indyi — z Indyi, morzem Baltyckiem, a potem statkami parowemi.

— Co pan plecie, łaskawy panie, morzem Baltyckiem z Indyi?

— A tak, nic naturalniejszego — tak mi mówił mój szwagier pan Bersogen, który ma ten wielki dom na Nalewkach, a który był już dwanaście razy w Gdańsku, a w tym roku jeździł do wód do Ostendy.

— To wszystko bardzo pięknie, ale widać, że szwagier pański, nie zna jeografii.

— Jak to może być, żeby mój szwagier nie znał jeografii? on tak dobrze *gada* po francuzku, że jak był w Ostendzie, to jakiś wielki pan hrabia, czy książe myślał że on Francuz, a po niemiecku, to by dziesięciu przegadał. — On by nie znał jeografii?... a co też pan powiada.

— A nie zna, jak mi Bóg miły, nie zna, jakże można mówić, że przez morze Baltyckie.

— No co to szkodzi, albo to para tak wiele kosztuje, żeby nie można przejechać się po morzach, i więcéj świata obaczyć.

Przeciwnik na ten ostatni argument ruszył ramionami, a pulchniutki jegomość dobył wielką, złoconą cygarnicę i objaśniwszy że ona pochodzi z Wystawy paryzkiéj, poczęstował go na zgodę prawdziwem hawańskiem cygarem, nie przepomniawszy dodać, że w Hamburgu płaci się takie cygaro po cwancygierze.

W pierwszéj izbie jakiś blady około czterdziesto-letni, czysto ale nie wykwintnie ubrany jegomość, trzymał w ręku Gazetę Warszawską a przy nim siedział drugi w ponszu, i w peruce, oparty na lasce i przeszkadzał mu ciągle swoją rozmową.

— Do czego to proszę pana tyle pisać po polsku, arkusz cały jak płachta, zadrukowany na wszystkie cztery strony, a czytać to wszystko to samo stoi co w niemieckich.

Ja proszę pana tylko Kuryera czytam, i Kuryer

jeden powinien tylko być, bo to dobre pismo, tam się można dowiedzieć, czy jest jaki dom do kupienia, kapitał na lokacyą wieś na sprzedaż, a jak się przy tém znudzę, to przeczytam rozmaitości i zaraz mi weselej. Nie tak, jak te długie powieści co to czasem końca *na bez* rok każą czekać.

Blady jegomość machnął niechętnie ręką i rzekł:

— Ale gazety nasze przyczyniają się do rozwinięcia u nas pismiennictwa, rozszerzają chęć do czytania i kształcenia się.

— Ej, na co to się przyda proszę pana. Człowiek by umarł z głodu, żeby tylko gazety czytał,i coby mi z tego przyszło, gdybym się ukształcił, a dziury miał na łokciach. Mnie się zdaje, proszę pana, że interes to grunt. Jak ja wiem co kto potrzebuje, i co kto drugi chce zbyć, to u mnie najlepsza gazeta, a tego się z tych wielkich płacht nie dowiem.

— Ale przecież przyda się wiedzieć, co się gdzie dzieje na świecie.

— Kiedy to samo jest w niemieckich.

— A czy każdy umie po niemiecku?

— No, — taki co nie umie po niemiecku, to na co ma wiedzieć co się na świecie dzieje.

Blady jegomość widocznie wyczerpywał cierpliwość i byłby ją wyczerpał, gdyby ona nie była między pierwszemi warunkami kawiarniannéj korporacyi. Przecież na jego szczęście ukazał się we drzwiach jakiś kandydat do kupna domu. Człowiek w peruce z pośpiechem ukłonił się blademu jegomości i poprowadził się na bok z owym przybyłym kandydatem układać interesa.

Takie i tym podobne gawędki pomięszane z dowcipkami szachistów i galeryi ich otaczającéj, z brzękiem szklanek, z cieniutkiem głosikiem Andzi, i niemieckiemi frazesami pana Pichla, składają się na taki gwar, że człowiek wyszedłszy ztamtąd, czuje go z pół dnia w koło siebie. A gwar taki powtarza się codzień, codzień te same szachowe partye, prawie te same rozmowy i dowcipki, te same głosy i głosiki, tak dalece, że chcąc mieć wyobrażenie o przeszłości tej kawiarni i dalekiéj przyszłości, dosyć

jest poświęcić jeden dzień na przypatrzenie się jej fizyognomii i schwycenie jéj rysów.

Podobieństwo rodzeńskie opiera się głównie na tém, że wszyscy tam są jak swoi, wszyscy się znają z nazwiska i z imienia, z urzędu i z powołania, z wieku i stosunków domowych i kochają się po koleżeńsku. Broń Boże niema którego dzień jeden i drugi, to już cała kalwakata sunie dowiedzieć się o jego zdrowie, badać powody niebytności. Pamiętam że raz, nieprzychodził od trzech dni staruszek siwy, poważny, który ledwie nogi suwał, a jednak codzień punktualnie bywał u Pischla, gdzie zawsze czekało na niego nie zajęte przez nikogo krzesło z poręczami.

— Niema go od trzech dni, rzekł pan półkownik, to biada, pewnie chory, trzeba nam go odwiedzić.

— A trzeba, trzeba,—zawołano chórem.

I nie odwłócząc zamiaru poszliśmy wszyscy w całym komplecie do małego dworku przy ulicy Twardéj.

Zastaliśmy starca gasnącego powoli, bez żad-

nych boleści, ot zwyczajnie jak gaśnie lampa gdy płomień do dna się już dostaje.

Ujrzawszy nas wszystkich, łzy stanęły mu w oczach, chciał się podnieść ale nie mógł podźwignąć głowy, wyciągnął tylko rękę i podając ją nam koleją cichym, ledwie dającym się słyszeć głosem mówił:

„Jak się macie, jak się macie? Ot widzicie co się dzieje ze mną, już podobno nie obaczycie mnie u Pischla. Ha trudno.

Oddech mu stawał, przymknął oczy, otworzył usta chcąc złapać tchu, i tak przez kilka minut leżał nieruchomie. Potem znów mówił;

— Na moim krześle niech siada pan pułkownik, bo to mój najserdeczniejszy przyjaciel i on nigdy nie chybiał terminu; imbryczek z białą plamką, takiż garnuszek i kufelek niech służą panu Marcinowi, słyszycie mnie, panu Marcinowi.

Potém znowu długo milczał, aż nareszcie zbierając resztę sił prawie ze łzami rzekł:

— Ale pamiętajcie o Pischlu, nie opuszczajcie go i przykazujcie synom, aby gdy się zesta-

rzeją o nim pamiętali. Długo, długo znów potem milczał, życie uciekało widocznie. W ostatnim jego odbłysku wyciągnął jeszcze ku nam rękę i rzekł:

— A bądźcie na moim pogrzebie! i Pischel niech będzie i Andzia!......

Wierzcie mi czytelnicy, że nie mogłem się wstrzymać od płaczu na te dowody pamięci starca. Koledzy moi łysi i siwi także płakali.

Trzeciego dnia odprowadziliśmy zwłoki naszego starego kolegi na Powązki, a gdy trumnę wsuwano do katakumby i smutne, a urocze *Salve Regina* rozległo się po sklepieniach grobowiska, każdy mógł z łatwością policzyć członków naszego bractwa, bo wszyscy klęczeli odmawiając, za duszę zmarłego *wieczne odpocznienie.*

I cóż teraz powiecie czytelnicy o kawiarni pana Pischla? Czy ona podobna do wszystkich innych gdzie gość jeden zaciera ślady drugiego? czy oblicze jéj nie jest typowe i poważne? czy punktualność tych starych ludzi, ich koleżeństwo, zażyłość a raczéj miłość braterska, nie

zasługują na uwagę, na studya cokolwiek głębsze od mego pobieżnego szkicu.

Starość moi łaskawi czytelnicy, ma swoje odrębne gusta i prawa, a że ona choć powoli i nieznacznie, zawsze jednak co chwila zbliża się ku nam, przeto raczycie mi darować, że poważyłem się nasunąć wam przed oczy ten obrazek, abyście się przyjrzeli cokolwiek tym przyjemnościom i rozrywkom, które kiedyś, gdy przyjdzie innym do innych przyjemności i rozrywek miejsca ustąpić, *spadną na nas w spuściżnie*

PAŃSKOŚĆ.

Z warsztacika do grosika—a z grosika do sklepika,
Z sklepika do kamienicy—z kamienicy do ławicy,
A z ławicy, górą nosa,—już pan patrzy pod niebiosa.
K. Miaskowski.

Kto przed kilku laty mieszkał w Warszawie, znał przynajmniej ze słyszenia, majstra cechu ciesielskiego Michała Toporka, uchodzącego wówczas za najpracowitszego i najrzetelniejszego rzemieślnika. Jeżeli na którym z budujących się nowych gmachów widziałeś wiązanie belek i krokiew, porządnie, mocno i na termin zrobione; jeżeli w węgłach stawianych na przedmieściach drewnianych domów, nie znalazłeś folgi, a na podwalinach i podkładach oflisu; mogłeś

być pewnym, że to robota Michała Toporka, że to jego oczy i ręce kierowały zdatnością i sumiennością innych robotników. Nie mógł też wydążyć zamówieniom, a kiedy wiosna nadeszła, to karety i kocze zajeżdżały przed skromny domek na ulicy Pańskiej, gdzie w dwóch izdebkach mieścił się pan majster Michał, jak go powszechnie nazywali robotnicy, którym rzetelnie co do grosza, wypłacał zawsze tygodniowy zarobek, nie urywając nigdy nic pod nadciągniętym pozorem, jak to nieraz robili jego współzawodnicy. Wzięcie które winien był Toporek swojej pracowitości i rzetelności, nie podnosiło go w zarozumienie, chociaż grosz coraz obficiej płynął i choć nie jeden list zastawny różowy leżał na dnie zielonej skrzynki, pod świątecznym strojem samego pana majstra i pani majstrowej. Mieszkał ciągle w tym samym domku, w którym mu się tak wiodło, w tych samych dwóch izdebkach, które najął zaraz po ożenieniu się; nosił się zawsze w niebieskiej kapocie za kolana, w rogatej czapce z barankiem, w juchtowych butach z Podwala, a od święta w suto obszytej ta-

śmami czamarze. Pani majstrowa dwudziesto-cztero-letnia blondynka, trochę okrągłych i pulchnych kształtów, trochę piegowata, trochę zanadto wymowna, córka stolarza, który całe życie z biedą się kołatał, znalazłszy w domu męża lepszy byt, dziękowała Bogu za tę zmianę, i z początku nie myślała o kapeluszach, o strojach, ale o tém, coby mężowi przyrządzić, upiec, przysmarzyć gdy spracowany przyjdzie na chwilę odpoczynku. Oszczędna, pracowita, sama umiała wszystko w domu zrobić, uprać, uszyć i ugotować, a kiedy pierwszy raz włożyła na siebie pół jedwabną suknię w czerwone i zielone pasy, to zdawało się jéj, że zrobiła zbytek nie dodarownia. Powoli jednakże oswoiła się z tym zbytkiem, a nawet zauważyła, że mając tak piękną suknię, niepodobna chodzić w chustce lub z gołą głową, i raz gdy mąż chował do skrzynki nowy list zastawny, odważyła się wspomnieć mu o tém.

— Dobrze, dobrze, a czyż to nas nie stać,— odpowiedział poczciwy cieśla; i tego samego jeszcze dnia modniarki z Freta ulicy utargowały

od pani majstrowéj półczwarta rubla za żółty kapelusz z czerwonemi kwiatami.

Mając i suknię i kapelusz, przyszło jéj na myśl, że źle wygląda, gdy ona w niedzielę taka wystrojona, a mąż idzie przy niej w czamarze; a że to jakoś było pod same święta wielkanocne, więc ułożyli sobie nie tracić czasu, i jak wraz w same święta pan Toporek paradował już po ulicy w nowym tużurku i w nowéj algierze.

— My się ubieramy, a dziewczęta chodzą w spódniczkach, — mówiła pani majstrowa do męża, gdy przez most wracali z Saskiéj Kępy; — wartoby Michałku i im choć po jednéj sukieneczce sprawić.

— Dodrze, dobrze, a czyż to nas nie stać, — odpowiedział Toporek uradowany wewnętrznie, że dzięki swéj pracy może powiedzieć: *a czyż to nas nie stać?*

W kilka dni potém, gdy wrócił do domu, i zastał żonę z zakasanemi rękami przy balji, sam już rzekł:

— Małgosiu, przyjmij sługę, czyż to nas nie stać!

I później ręce Małgosi nie spotkały się już z balią.

Mimo tych maluczkich zbyteczków, wszystko szło dawnym trybem, Toporek pracował tak jak dawniej, Małgosia krzątała się jeszcze raźniej, bo chciała troskliwością i zabiegami oszczędzić sobie, to na jedwabną parasolkę, to na trzewiki z lakierowanemi noskami, to wreszcie na jakiś tarlatanik albo żagnocik, który strasznie ją zajął ślicznemi deseniami, naprzykład różami wielkiemi jak dłonie, albo goździkami w bukiety układanemi.

Córki chowały się im zdrowo, najstarsza dochodziła już do lat sześciu, i jak żywe srebro kręciła się przy matce, gdy smażyła jajecznicę z cebulką, albo kwasiła na zimę ogórki i rydze. Tak szły rzeczy w domu państwa Toporków, gdy raz wróciwszy z Czystego, gdzie jakiś kuglarz chodzący na rękach a jedzący nogami, w bardzo dobry humor ich wprowadził, pan majster składając starannie do kuferka swój świąteczny strój rzekł do żony:

— Wiesz Małgosiu, co mi się czasem kręci po głowie?

— Cóż takiego?

— Tylko nie łaj mnie, jeżeli głupstwo powiem, bo trochę ten miodek zakręcił mi głowę.

— No, nie nie.

— Otóż widzisz serdeńko Małgosiu, z łaski Boskiéj mamy tu sporo grosza. Czy ty wiesz ile tu leży

— Nie.

— Hę! hę! Oto dwa razy po sto tysięcy.

— Najsłodsza Maryjo! dwa razy po sto tysięcy?!

— Tak, tak, ale nie wrzeszcz rybeńko, bo i ściany mają uszy; a mnie nieraz strach bierze, jak pomyślę sobie, że cała nasza praca w téj skrzynce. Boże uchowaj, zły człowiek albo ogień!? mnie tu radzi jeden łepak, aby tę summę dać jakiemuś żydowi bankierowi na dwanaście procentu, ale mnie się widzi, że temu rajcy lis z gęby wygląda i boję się, boję się serdeńko Małgosiu, a i wdomu trzymać niejako. Ot wiesz co, kupmy sobie kamienicę.

— Kamienicę? święta Małgorzato kamienicę, a toż ja oszaleję z radości.

— Czyś ty się także upiła Małgosiu, czy co? krzyczysz na całą gębę, a to przecie nie las tylko miasto.

— Kamienicę, kamienicę! zaraz kupujmy kamienicę, tylko żeby była wielka, choć na trzy piętra i z ogrodem, koniecznie z ogrodem, a w ogrodzie żeby były kwatery na warzywo! Toż to dopiero sadzić będę cebulę, ogórki, rzepę, brukiew, a jeść będziem ciągle jarzynkę z baraniną. Michałku kupujmy kamienicę.

— Powoli Małgosiu, co nagle to po diable, opatrzy się coś, poradzi się uczciwych ludzi, starguje i potem kupi w imie Boże. Tylko cicho, bo to ludziom zaraz jak fura siana w głowę zajedzie, zkąd ja wziąłem tyle pieniędzy, a Bóg widzi że każdy grosz uczciwie zapracowany.

Z temi wyrazami układli się na spoczynek. Toporek zasnął zaraz, ale Małgosia spać nie mogła. Coraz to inna kamienica stała jéj przed oczyma, wyobrażała sobie jak to ona rządzić będzie w swojéj kamienicy, jak ją ludzie zwać bę-

dą panią i kłaniać się jéj nizko, jak kumoszki i sąsiadki schodzić się będą do pani kamienicznéj, oglądać jéj pokoje wymalowane w żółte i czerwone kwiaty, zastawione paradnemi meblami, jesionową kanapą pokrytą włosiennicą, okrągłym stołem na jednéj nodze, komodą z mosiężnemi figlasami i t. d., podziwiać śliczną salopę z popielicami, kapelusz niebieski z piórem i suknię atłasową. Myśli te tak rozkołysały uszczęśliwioną panią majstrowę, że zaledwie nad ranem zasnęła, z silnem postanowieniem zostania jak najprędzéj kamieniczną panią. Nazajutrz jak tylko mąż wyszedł na fabrykę, Małgosia włożyła na siebie salopę, i z pośpiechu zapomniawszy o kapeluszu, wybiegła na ulicę szukać kamienicy do kupienia. Wyszedłszy rozejrzała się po całéj Pańskiéj ulicy, i pokręciła głową; — na całéj ulicy były tylko małe domki albo jedno-piętrowe kamieniczki; wyszła na Marszałkowską, ale i tu nic nie przypadło jéj do gustu, poszła więc daléj na Królewską, stając przed każdym większym domem, i licząc piętra i okna. Na Królewskiéj zatrzymała się przed pałacem Dębowskich,

bo ją znęciło podwórze i drzewa wyzierające z ogrodu, ale gdy obaczyła okna małe i całą budowę pochyloną wiekiem, pokręciła głową i poszła dalej na Krakowskie-Przedmieście. Wychodząc na tę wspaniałą ulicę, ujrzała zaraz, prawie na przeciwko śliczną budowę. Nie miała wprawdzie dwóch ani trzech piętr, ale zajmowała obszerny plac, sięgający aż do Wizytkowskiego kościoła, a czterech olbrzymów dźwigało balkon, unoszący się nad paradnie oszklonem wejściem.

— Już mam!—krzyknęła takim głosem, jakim Kolumb zawołał do rady okrętowéj: *ziemia* i pobiegła co tchu zanieść tę pożądaną wiadomość mężowi, który zajęty układaniem belek na jednéj z kamienic, stawiających się na Nowymświecie, ani spodziewał się tych odwiedzin.

Wysłuchawszy cierpliwie zdania sprawy, uśmiechnął się poczciwy mąż, i klepiąc po ramieniu zaczerwienioną z radości Małgosię rzekł:

— Kobieto! co tobie się roi, to pałac wielkich panów, jego i za miljony nie kupi.

Zasmuciła się pretendentka do kupna pałacu hr. Potockich, on to bowiem tak przypadł jéj do

gustu, i byłaby sie rozpłakała, gdyby mąż nie był dodał;

— Nie frasuj się, moja Małgosiu, mnie już rają kamienicę niedaleko ztąd, ot widać ją tam het na prawo. Oglądałem ją już i podobała mi się. Stawiana nie na fuszerkę, mury dwułokciowe, a wiązanie z samego rdzennego drzewa i jakby ołowiem zlutowane. Dziś po południu zejdziemy się na targ u Karasia, bo to tę kamienicę jeden z naszych sprzedaje, i może da Bóg że targ twardo nie pójdzie.

Pocieszona nadzieją rychłego zostania panią kamieniczną, Małgosia nie zabierała już dłużéj mężowi czasu, ale wracając nie poszła wprost Szpitalną do Marszałkowskiej, lecz skręciła ku Krakowskiemu-Przedmieściu, i stojąc z pół godziny przed pałacem hr. Potockich, myślała dlaczego też nie mają milionów, aby ona mogła być panią tak pięknego pałacu. Toporek do zwykłéj pory był przy fabryce i dopiero o ósméj wieczorem, obliczywszy się z robotnikami i wstąpiwszy jeszcze na anioł pański do kościoła Śgo Alexandra, poszedł do Karasia.

II.

W kilka miesięcy potém, na jednym z domów niedaleko alei położonych świeciła się nowiusieńka blacha, a na blasze dużemi literami był napis. „*Dom Michała Toporkowskiego majstra kunsztu ciesielskiego.*"

W podwórzu w oficynie na pierwszym piętrze zamieszkał sam gospodarz i zajął cztery obszerne pokoje; z widokiem na ogród, w którym tak jak chciała dawna Małgosia, a teraźniejsza pani Toporkowska, było kilka kwater na warzywo.

Był to dzień niedzielny.—Pani Toporkowska wracała z mężem i z dziećmi z kościoła, ubrana była w zielon jedwabną suknię: w żółtą chustkę, która sięgała aż do ziemi, i w niebieski kapelusz z piórem; trzymała się pod rękę z mężem, który zaledwie karkiem mógł obrócić od mocno wykrochmalonych kołnierzyków, a trzy córeczki w krótkich szkockich sukienkach i w zielonych kapelusikach biegły przed niemi. Stanąwszy przed domem, pani kamieniczna spojrzała w górę i zawołała:

— Stróż! Jakób!

— Słucham wielmożnej pani.

— Weź-no mokrą ścierkę i przetrzyj tę blachę. Co tu kurzu!

Zaraz przoszę wielmożnej pani: Wszedłszy w podwórze stanęła znowu i zawołała.

— Stróż! Jakób!

— Słucham wielmożnej pani.

— Jaki ty nygus, to aż strach! Patrz, ten kamień poniewiera się, a tam przy mostku nie ma jednego kamienia.

— Ale kiedy to chlopaki z ulicy przynieśli.

— Nieprawda, bo oni go stamtąd wyjęli. Ja powiadam żeś próżniak, niedołęga. Co to, czy nie znam tego kamienia, czy co? Zaraz mi go tam wsadzić.

— Dobrze proszę wielmożnej pani.

Rozgościwszy się w domu wyjrzała pani Toporkowska oknem czy dzieci lokatora z przeciwka nie bawią się na schodach, usiadła na kanapie probując w kilku miejscach sprężyn, czy się dobrze uginają i zawołała na męża:

— Michałku —pójdź no tu.

Michałek obrócił dwa razy głową chcąc nagiąć do posłuszeństwa kołnierzyki i usiadł obok zadowolonej małżonki.

— Prawda, jak dobrze siedzieć na tej kanapie.

— Prawda, i wiesz co Małgosiu, że ta kanapa miększa aniżeli twoje kołnierzyki coś mi ich koniecznie kazała włożyć, chodzę jak pies w obróży.

— Zmiękną, zmiękną,—ale ja o czemś innem chciałam z tobą pogadać.—O czem to, o już wiem. Kasia w tym tygodniu kończy ósmy rok, Jadwisia siódmy, a Rózia przed świętami skończy szósty, dziewczyny jak iskry, zdrowe i tęgie, ale próżnują, cały Boży dzień tylko gry i figle, a choć do szycia i cerowania zapędzę, to co to szycie. Pani Filipowa, ta z rogu, co to także mają kamienicę, powiada, że powinniśmy nasze córki *hedukować* na wielkie panie; że trzeba im przyjąć *omentrów* do muzyki, do gadania po francuzku, do pisania i czytania. Takich *omentrów* pono jest dość i niedrogich; powiada pani Filipowa, że

sama płaci po rublu na tydzień. Hę, co ty na to Michałku?

— Ha, jużci niech się uczą, *przecież nas stać na to*, a i człowiekowi milej będzie posłuchać własnego dziecka, jak tam zaszwargota po-cudzoziemsku i zagra niby na katarynce.

— No to i dobrze, pani Filipowa powiedziała że nam *zaromendykuje* tych samych *omentrów*, a jeszcze potargować się nie zaszkodzi, może za pół rubla przystaną.

— Dobrze moja Małgosiu, ale zdejm mi te kołnirzyki, bo dalibóg rany mi zrobią pod uszami.

— Tobie tylko kołnierzyki w głowie. Ot co jeszcze miałam rzec—ha, ha, porządziłam się tu bez ciebie i kazałam dwie kwatery w ogrodzie zasadzić różami, piwoniami i goździkami. Tego rzepiska już dosyć, i za Żelazną bramą dostanie jak zabraknie, a kwiaty w ogrodach wszyscy mają.

— To fraszki rzepa i kwiaty, aleś ty Małgosiu o jednej rzeczy zapomniała.

— O czem? może o tem że trzeba *fortypian*

kupić;—nieprawda, panie Michale, ja już prosiłam naszego czeladnika Świderka, który codzień czytuje Kurjera, aby wywiedział się o jakim fortypianie do kupienia.

— A pieniądze?

— Hę—ty nic nie wiesz, a ja chłopakom co są na nauce nie daję teraz trzy razy na tydzień pieczeni, ale tylko raz w niedzielę i z tego złożyłam już sobie dwadzieścia siedm rubli na fortypjan.

— Ale to ich krzywda.

— Głupstwo, gdzieindziej gorzéj jeszcze jeść dają, u każdego z nich pyski jak pąki.

Dalsze obrady przerwała wiadomość, że obiad jest już na stole i pan majster walcząc ze sztywnością kołnierzyków, a pani majstrowa myśląc o omentrach i fortypianie przeszli do pokoju jadalnego.

III.

Gdyby broń Boże pisarzom powieści nie wolno było przenosić czytelników za jednym pociągiem pióra z Warszawy do Rio-Janeiro, z czasów przedchrześcijańskich, w wieki które kiedyś do-

piéro płynąć będą, toż to czytelnicy pochłonąćby musieli mirjady wyrazów wyexpensowanych napróżno aby zapchać jako tako luki czasu i miejsca. Ale że tak nie jest, więc i ja za jednym krokiem, z przed-kilkonastoletniej epoki staję u drzwi teraźniejszości.

Otóż niedawno idąc ulicą Nowo-Senatorską, trafiłem na gruppę robotników zajętych żywą rozmową.

— A niech go Pan Bóg skarze za naszą krzywdę:—mówił jeden.

— Bestja, bale daje, koczem jeździ, a ludziom krwawego zarobku urywa; mówił drugi.

— Gdzie u niego sumienie—kończył trzeci.

Widząc frasunek biednych ludzi, zatrzymałem się i zapytałem kto ich tak pokrzywdził?

— A to ten— teraz wielki pan Toporkowski, zapomniał, że był kiedyś takim chudziakiem jak i my.

Przestrzegłem biednych ludzi, że złorzeczyć nie należy, że sam Bóg ujmie się za ich krzywdę i poszedłem dalej. Przechodząc koło sklepu korzennego, obaczyłem elegancki powozik stojący

przed sklepem, a że potrzebowałem do moich obrazków pieprzu i cykuty, więc wstąpiłem. W pierwszym gościnnym pokoju siedział dobrze już podpasły i rumiany pan Toporkowski, a przed nim stał talerz z dymiącą się jeszcze polędwicą i butelką porteru angielskiego, z której już na kufelku zostały ślady białej jak śnieg pianki, dowody czystéj rasy angielskiéj. Pan Toporkowski raczył spostrzedz mię z drugiego pokoju i niewiem z jakiego powodu, zapewnie na rachunek względów mego dziennikarskiego języka, wybiegł i ściskając mnie czule rzekł:

— Mam tu małą prośbeczkę do szanownego pana, ale proszę nie odmówić, bobyś pan nas zmartwił niezmiernie.

Uściski pana Toporkowskiego, który urywał zarobku biednym ludziom dlatego, aby miał za co pić porter angielski, parzyły mnie.

Usuwając więc co prędzéj rękę rzekłem:

— Słucham, słucham łaskawy panie.

— Czyby pan dobrodziéj nie raczył zrobić nam tyle zaszczytu....

— W czem i gdzie?

— Oto widzi pan dobrodziéj dziś św. Małgorzaty, imieniny mojéj żony; będzie więc u nas malutka zabawa. Córki będą winszować matce wierszami po francuzku, a i śliczna muzyka się zbierze, gdyby więc pan dobrodziéj odwiedził nas, tak dziś około godziny dziewiątéj...

Z początku chciałem odmówić, ale potém pomyślałem sobie: będzie materjał do obrazku, i jak chciwiec, który obaczy z daleka dukaty, rzekłem:

— O i owszem, i owszem, będzie mi bardzo przyjemnie służyć zacnym państwu Toporkowskim.

Rozserdeczniony pan majster chciał mnie jeszcze prosić na śniadanko i porter, ale wymówiłem się brakiem czasu i podążyłem w swoją stronę.

W pół do dziewiątéj byłem już przed kamienicą państwa Toporkowskich i musiałem roześmiać się w głos na samym wstępie.

W domu gdzie mieszkałem, przed rokiem służył stróż Jakóbek, poczciwy i usłużny chłopak, ale że się ożenił, a z żoną trzymać go nie

chciano, więc musiał szukać innéj służby. Jakież było moje zadziwienie, gdym wchodząc w bramę, obaczył Jakóbka w długiéj niebieskiéj kapocie, w czarnym stosowanym kapeluszu i z długą laską w ręku!

— A to co? zkądże taki osobliwy strój mój Jakóbku?

— Ot tak mi teraz przyszło, że takie *komedyje* ze mną wyrabiają, odrzekł uchylając rogatego kapelusza. Kupili na Wolnicy jakieś surducisko, kapelusz stary od karawaniarza, a laskę na Pociejowie i teraz jak tylko bal, ubierają człowieka nikiéj jak straszydło.

— Gdzież oni mieszkają, rzekłem dobywając sakiewki, aby dać dawnemu znajomemu na piwo.

— Tu, na pierwszem piętrze, ot zaraz po tych schodach.

— I u nich dzisiaj bal?

— O bal! od samego świtu rady sobie z tym balem dać nie mogą, jakby pół świata miało się do nich zjechać.

Musiałem skończyć rozmowę z Jakóbkiem bo dorożka z nowym ładunkiem gości stanęła przed

kamienicą, i wszedłem na schody. Schody były wywoskowane i oświecone dwoma kinkietami. Kiedym podniósł oczy w górę chcąc dojrzeć zkąd światło pochodziło, poczułem kilka mokrych kropel na mojéj twarzy. Nie spodziewając się na wstępie priesnitzowskiéj kąpieli, usunąłem się prędko, i dobrzem zrobił, bo jak się późniéj przekonałem, jeden kinkiet tak nieznośnie kapał, że ogromna kałuża oleju płynęła po ostatnich dwóch stopniach schodów.

Wyszedłszy na schody z początku nie wiedziałem gdzie się udać, czy na prawo, czy na lewo, ale sztukot tasaków kucharskich odzywających się z lewéj strony, siekających zapewne mięso na kotlety, ostrzegł mnie że powinienem trzymać się prawéj strony. Zaledwie znalazłem się w przedpokoju, z salonu pokazała się jakaś kobieca główka i zaraz zniknęła, ale w te pędy za nią wyjrzała znowu druga, i byłbym Bóg wie wielu główek doczekał się, gdybym dzięki lokajowi w liberją ustrojonemu i dość zręcznemu, nie był dość prędko zrzucił z siebie zwierzchniego okrycia, i nie wszedł do salonu.

Salon był duży, o trzech oknach i na pozór nieźle wyglądał. Palisandrowe meble pokryte były żółtym pół-aksamitem, na stolach i konsolach pełno było lamp, a nawet Frażetowski żyrandol, o czterech ramionach i ośmiu ramionkach dodawał uroku. Posadzka taflowa świeciła świeżą politurą, na ścianach pełno było obrazów w wielkich złoconych ramach. Gdzieniegdzie tkwiły kosze kwiatów i na pierwszy rzut oka zdawało się, że możność i gust połączyły swe usiłowania do ozdobienia tego miejsca zabawy. Ale wpatrzywszy się uważniej, dostrzegłeś zaraz, że gust był za drzwiami, wtenczas kiedy możność siliła się na koncepta. Meble były tak zwanej pociejowskiej fabryki, każda noga u stołu lub konsoli patrzyła w inną stronę, a filarki u krzeseł trzęsły się jak sztuczne zęby Neumana. Obrazów było pełno, ależ miły Boże, cóż to za dobór!? Tu jakiś pejzarz z owcami, podobniejszemi do stworzeń którym natura rogów nie dała i z pasterkami zbliżonemi do warszawskich śmieciarek, owdzie jakiś quasi historyczny obraz, na którym król Jagiełło odmalowany w szwedz-

kich kryzach; dalej jakaś scena mitologiczna strasznie odkryta i t. d. i t. d. Te kosze kwiatów które cię z początku zajęły, to róże i piwonie zfabrykowane jakiemiś niezgrabnemi rękami kwiaciarek; te lampy, to braki kopcące, wiecznie filujące, które co chwila wynosić i poprawiać potrzeba, te zwierciadła....

Chciałem jeszcze dalej prowadzić moje spostrzeżenia, gdy przytoczyła się do mnie, szanowna gospodyni domu, z takim zapasem piór, kwiatów, wstążek, atłasów, świecideł i gustu, na jaki wszystkie magazyny z Freta ulicy zdobyć się mogły, i dygnąwszy nader nisko i nader subiekcyonalnie rzekła:

— Ach jak pan późno łaskaw.

Wytrzeszczyłem oczy na dawną Małgosię, nie mogąc dociec, co to ma znaczyć żem *późno łaskaw*, a ona dalej mówiła.

— To teraz wszędzie tak późno się schodzą. W przeszłym roku jak byliśmy w *Kalisbadzie*, to tam o północy przychodzili na *rejniony*. Czy pan był kiedy w Kalisbadzie, co to za śliczności miasto, jakie to tam kamienice, jakie pałace, ale

jaka drożyzna, — kura dwa *franków*, a mnie kury jadać kazali, bo to wody kalisbadzkie....

— Wiem, wiem pani dobr. że przy wodach karlsbadzkich, tylko kury się jada, rzekłem dla zbicia jejmości z tropu na który wpadła. Ale pomimo tego, byłbym usłyszał jeszcze wiele *nowości o Kalisbadzie,* gdyby nie była nadbiegła najstarsza córka.

Panna Katarzyna podała mi rękę i rzekła najgorszą francuzczyzną.

— Będziesz pan dzisiaj dobrze się bawił, będziemy mieli i deklamacyą i muzykę i śpiewy.

— O tem nie wątpię, odrzekłem: ale pani daruje, że odpowiadam jéj po polsku; innym językiem nie mówię.

— Jakto, pan nie umie po francuzku?

— Tak, nie umiem.

— A papa nam powiedział, że pan pisze i drukuje.

— Papa może się i nie omylił pani dobrodziejko, ale można po francuzku nie umieć, a umieć pisać i drukować.

— Ej to chyba na nic się nie zdało, mnie mój

metr mówi, że tylko stangrety i lokaje, polskie książki czytają.

— Jeżeli ten metr powtórzy jeszcze raz podobne zdanie, to powiedz mu pani na moją odpowiedzialność, że we Francyi tacy jak on, to żadnych książek nie czytają, bo bydło pasą.

Panienka skrzywiła się, pokręciła głową, jakby na znak że to być nie może i odeszła, a nadbiegł pan Toporkowski, i ściskając mnie z całéj siły, jakby chciał w węgieł osadzić, rzekł:

— Upadam do nóg, upadam do nóg, trochem się spóźnił, alem musiał zbić kucharza, bo spił się jak bela. No, ale widzę że Kasia zabawiała pana, o! to główka aż miło, po francuzku to tak pytluje, że samego Francuza by przegadała.

Potem nachyliwszy się ku mnie, rzekł do ucha.

— Idzie za mąż za obywatela, który ma dobra nad jeziorem Gopłem, człowiek co się nazywa i personat, i edukowany i grzeczny, a nadewszystko *pan*, powiada że niedługo brabią zostanie.

Powinszowałem panu Toporkowskiemu tak

wysokich związków, i przerwaliśmy tę familijną rozmowę, bo goście zaczęli się schodzić.

Już zebrało się kilkądziesiąt osób, a nie obaczyłem ani jednego cieśli lub stolarza, wszystko to po większej części byli panicze, którym smakowały sute kolacye państwa Toporkowskich, i stare wina w jakich kochał się sam gospodarz. Znalazło się dwóch czy trzech kupców, kilku kamienicznych sąsiadów z żonami i córkami, a wreszcie pełno młodzieży nawet takiej, która w towarzystwach lepiej dobranych przyjmowaną bywa.

Zabawa rozpoczęła się od deklamacyi. Panna Katarzyna stanęła śmiało w kółku, które ją otoczyło: i wygłosiła powinszowanie matce w języku francuzkim, w trzech częściach i dwunastu oddziałach. Stałem blisko pani Toporkowskiej i słyszałem jak jakaś jejmość także porządnie kolista i rumiana, mówiła do niej!

— Czy sąsiadeńka co rozumie?

— Nic sąsiadeńko, ale to tak miło, że człowiek doczekał się takiej pociechy.

Spojrzałem z politowaniem na matkę, która cieszyła się z tego, że córki nie rozumie i zwró-

ciłem się ku fortepianowi, bo właśnie zabrzmiały szumne akordy z pod rączek panny Jadwigi.

— Co to grać będzie panna Jadwiga? zapytała ta sama sąsiadeńka.

— Wielki koncent *Majerbura.*

— Ach jaka sąsiadeńka szczęśliwa, że ma takie mądre córki, mojéj Kasi to łopatą kłaść rozum do głowy nie pomoże.

— Cyt, sza sąsiadeńko, bo tu będzie zaraz jak to kochankowie do siebie gadają.

— Co sąsiadeńka prawi, przecież to muzyka.

— Właśnie oni *bez* muzykę gadają.

Ale naraz jęknął fortepian pod potężnem uderzeniem w klawisze; któryś z dandych przewrócił kartkę nut, a rozmowy kochanków słychać nie było. Panna Jadwiga przełożyła tę samą kartkę, potem ją odłożyła, wzięła nuty z fortepianu, przejrzała kartka po kartce, zaczerwieniła się po uszy i nie wiedziała co z sobą zrobić.

— Co to jest? krzyknęła matka.

— Czego ci brakuje? zawołał ojciec.

— Dwóch kartek ze środka, odpowiedziała zaambarasowana koncertantka.

— Rozruch zrobił się wielki, wszyscy pospieszyli do fortepianu, przerzucili wszystkie nuty, a kartek nie było. Gdzie się podziały, na różne wpadano domysły, już posądzano o zbrodnią stanu jakąś zazdrośną przyjaciółeczkę, gdy wpadła zadyszana młodsza niosąc owe nieszczęśliwe kartki, zatłuszczone i zasmolone, jakby z komina wyciągnięte.

— Co się stało, gdzie były? zawołało na raz kilkadziesiąt głosów.

— A to proszę pani ta waryatka Magda, nie miała co podłożyć pod obarzaneczki, wpadła tu i zabrała.

— Sto łóz! krzyknął energicznie pan Toporkowski.

— Pijaczka! dorzuciła sama pani.

Tymczasem nie chcąc stracić wrażeń koncertu goście dopomogli rozpostrzeć zatłuszczone nuty na pulpicie, i dzięki ich poświęceniu usłyszeliśmy przecie rozmowę kochanków.

Po tym jednak niefortunnym wypadku z nutami, panna Jadwiga myliła się ciągle, a przy końcu opuszczała po kilka taktów, aby co prę-

dzéj dobić do końca. Grzmot oklasków objawił koncertantce zadowolenie słuchaczy.

Pozostała jeszcze trzecia część programu, śpiew Panna Róża przystąpiła do fortepianu prowadząc za sobą jakąś machinę do akompaniamentu, i głosem od którego aż kawałki sufitu odpadać zaczęły, zanuciła arją z Trubadura. Ale na nieszczęście w najgłośniéjszéj ruladzie, kiedy chciała podnieść głos wyżéj i jeszcze wyżéj, zrobił się taki potężny kogucik, że aż machina akompaniująca obejrzała się za siebie, czy czasem koncertantce gardło nie pękło. Zatarł się jednak jakoś ten kogucik jeszcze krzykliwszym trelem; i salonik zatrząsł się od oklasków.

Po koncertach nastąpiły powinszowania rodzicom tak obfitych pociech z ich dzieci, przy których pani Toporkowska aż rozbeczała się z radości, a pan Toporkowski o mało za nogi winszujących nie ściskał.

Herbata, ciasta, wino, torty, zatarły wrażenia koncertu, znalazła się najęta kapela, młodzież wzięła się do pląsów, a starzy do kart. Nie znając zupełnie towarzystwa, a obawiając się aby

gospodyni domu, nie chciała znowu bawić mię rozmową o *Kalisbadzie*, przyjąłem wezwanie i usiadłem do wista:

Suta kolacja złożona przynajmniej ze dwunastu dań, która zaczęła się od majonezów, a skończyła się na galaretach, była najozdobniejszym wieńcem tego wieczoru.

Po kolacyi opuściliśmy dom państwa Toporkowskich, życząc jeszcze raz wszelkich pomyślności i najszczęśliwszych sukcessów.

Wkrótce potem dowiedziałem się, że panna Katarzyna wyszła za owego obywatela z nad Gopła, który jak wieść niesie, ma tam malutką dzierżawkę, i posagiem panny majstrówny, chce podeprzeć zachwiany szulerstwem i nierządem gmach spadkowego imienia. O pannę Jadwigę przysyłał swaty poczciwy fabrykant ram złoconych, ale wyśmiano go, że śmiał sięgać po rękę, która umie wygrywać na fortepianie rozmowę kochanków. Państwo Toporkowscy mają już podobno na oku dla niej męża, jakiegoś radcę, który młode lata strawił w ogródkach, a na starość chce spocząć na laurach toporem zdobytych. Naj-

młodsza panna Róża ma zamiar kształcić się, na europejskiéj sławy śpiewaczkę; ale podobno wszystko to próżne marzenia, bo ludzie głoszą, że pan Toporkowski, zjadając dobre śniadania, i pijąc porter angielski, stracił zupełnie wzięcie; że fabryk coraz więcéj mu ubywa, a długów przybywa, i że nie długo z pięknéj własnéj kamienicy przenieść się będzie musiał do dawnego dworku na Pańską ulicę. Może to i prawda, bo Bóg nie błogosławi tym, którym przy dostatkach z uczciwego rzemiosła nabytych, *rogata pańskość* w głowę zajedzie.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

SPIS RZECZY.